

WIAS

W NUMERZE:

M. JAWORSKI — Walka o Plan; B. KUŹMIZ — Udział R. Narodowych.
J. BIENIEK, ST. HERMAN, K. BARTYZEL, ST. KRAK — O Planie 6-letnim.
J. KOPROWSKI, J. A. FRASIK — Wiersze; J. ŁAZARZ — w walce o świetlicę.
ST. GĘBALA, M. SIENNY, K. BRZUSZEK, B. GÓRALIK — Dyskusja o świetlicy.
Z. KUBALSKI — Żniwa; ST. ROGOWSKI, J. TRZNADEL, K. LESNIEWSKA — Recenzje.

tygodnik społeczno-literacki

Rok VII

Warszawa, dn. 27. VIII. 1950 r.

Nr 34 (265)

KAZIMIERZ KAKOL

PRZODOWNICY PRACY¹⁾

BOHATEROWIE NASZYCH CZASÓW

Czy bohaterem pracy trzeba się urodzić, czy można się nim stać? A jeżeli osiągnięcie pozycji przodownika pracy jest możliwe dla każdego, to w jakich warunkach? Czy bohaterów można wychować — i jaka instytucja jest do tego powołana? Odpowiedź na te pytania można odczytać w kolejach życia naszych najwybitniejszych przodowników. „Biblioteczka przodowników pracy”, wydawana przez „Książkę i Wiedzę”, pokazuje nam tych, którzy znajdują się na frontowych pozycjach socjalistycznego budownictwa. Przeszło czterdzięci lat temu „Biblioteczka” obrazuje życie, walkę i osiągnięcia poszczególnych bohaterów socjalistycznej pracy; równocześnie jednak stanowią one obraz ruchu współzawodnictwa pracy w Polsce.

Jakże jest to możliwe?

Przecież, jeśli nawet weźmie się pod uwagę, że niektórzy tomiki „Biblioteczki” zawierają portrety wiekowych przodowników, to i tak liczebność zespołu omawianego będzie pozostawała w rażącej dysproporcji do rozmiarów liczbowych ruchu współzawodnictwa. Ruch ten ogarnął około 60 proc. ogółu zatrudnionych w społecznie przodującym gospodarstwie narodowym²⁾; ilość racjonalizatorów i nowatorów produkcji wzrastała ustawicznie: w roku 1948 zgłoszono — 3346 wynalazków a przyjęto i premiiowano — 2171; w pierwszym tylko półroczu 1949 r. odpowiednio liczby wyniosły już 3579 i 2489.

Blizsze zapoznanie się z treścią tomików „Biblioteczki” prowadzi do wniosku, że w kształtowaniu się, rozwoju, przetrwaniu i rezultatach ruchu współzawodnictwa, ukazując mechanizm działania „szkół” socjalistycznych bohaterów pracy.

Szkółą tą jest przede wszystkim zakład pracy.

Na terenie zakładu przodownik pracy swoim przykładem obiektywizuje przyszłość i trudności, dowodzi, że są one możliwe do pokonania. Każdy niemal z nich jest wychowawcą, wzorem do naśladowania dla wielu dziesiątków mniej doświadczonych towarzyszy pracy.

„Jeżeli zgromadziłem w życiu tyle doświadczeń, że już chyba mój warsztat pracy nie ma dla mnie tajemnic, to nie racja, żebym miał tę wiedzę zabrać ze sobą do grobu” — pisał Henryk Wójcik, kierownik robót w warsztatach PKP Warszawa-Praga, odznaczony orderem „Sztandaru Pracy” i klasy. „Przychodzą przecież nowi, młodzi, mniej doświadczeni robotnicy. Chcę im pomóc, żeby te umiejętności, którą ja już mam, oni zdobyli szybciej, kosztem mniejszej ilości lat i mniejszych wysiłków. Trzeba przecież zrozumieć, że człowiek, który pierwszy raz znalazł się w warsztacie, jeszcze nie rozumie roboty i jest wobec niej nieumiejętny i niegranny. Szybciej oswoi się ze swoimi zadaniami i nauczy je wypełniać, jeżeli stanie przy nim starszy towarzysz i wyjaśni mu, pokaże, poda pomocną dłoń, tak żeby nowicjusz mógł się przekonać, że to nie żadne cuda, że wystarczy trochę myśleć i chcieć dobrze pracować”.

Praca przodowników przyczynia się do podnoszenia poziomu kwalifikacji fachowych. Robotnik niewykwalifikowany zdobywa pracując wiedzę zawodową. Piotr Trzeński, tynkarz, mówi: „w zespołach mogą doskonale pracować również robotnicy niewykwalifikowani... Drugi pod ręczny — a więc robotnik niewykwalifikowany, nie tylko wydajnie pracuje. Uczy się, a jednocześnie i zdobywa wiadomości fachowe. Kształci się i awansuje na pierwszego pod ręcznego, a z czasem na tynkarsza”. A wspomniany już Henryk Wójcik: „Przy jednym fachowcu pracuje czterech niefachowców i ci stopniowo wdrażają się do pracy”.

Śmiało można mówić o „szkole” pracy rebażar, powstającej w oparciu o wzory wypracowane przez Zielińskiego, Bugdół, Apryasa, Nieruchę, Zajęca.

Tynkarz Piotr Trzeński i jego trójkowy zespół tynkarski stanowi wzór dla przeszło 40 podobnych trójek; charakterystyczne jest, że sam Trzeński zamierzał zorganizować i przeszkolić 28 trójek, a liczba

ich wzrosła już w czasie przeprowadzania akcji.

W trzy dni po zainicjowaniu przez Krajewskiego zespołowej pracy w murarstwie, pracowali już cztery zespoły: Poręckiego, Religi, Kowalczyka i Nowakowskiego, mimo, że Poręcki przyglądając się początkowo pracy Krajewskiego, przysięgił, że woli raczej pościć kosić, aniżeli tak mrować. Kontynuatorzy pracy Krajewskiego nie byli jednak tylko zwykłymi naśladowcami: wnosili własny wkład w dzieło rewolucjonizowania budownictwa. W ciągu niespełna roku osiągnięcie fabrykarskiego zostało dziesięciokrotnie przewyższone: zamiast ułożonych przez niego 3400 cegieł murarz Grucha ze swoją trójką ułożył 32245 cegieł w ciągu 8 godzin.

Zakresy osobowe tych „szkół socjalistycznej pracy” są o wiele szersze niż to wynikało z tego, co powiedziano wyżej. Przekraczają one granice państwowe, powstają na zasadzie wymiany doświadczeń między pracownikami różnych krajów. „Szkola” Zielińskiego i Bugdół jest spokrewniona ze „szkołą” Stachanowa. Ze „szkołą” Matrosowa znowu związane są te zespoły naszych przodowników w fabrykach obuwiarskich, którzy za przykładem Gmitrzykowskiego, posługując się systemem wykrojów Matrosowa przekraczają wielokrotnie normy produkcyjne. Krajewski był uczniem radzieckiego rekordzisty pracy Maksymienki, Trzeński przeniósł na nasz teren doświadczenia zdobyte w Związku Radzieckim; Brygady najwyższej jakości Al. Czuchliha stały się wzorem dla innych zespołów wielokrotności.

Ustrój socjalistyczny dając pracę, chleb, likwidując groźbę bezrobocia pozwala śmiało wprowadzać ulepszenia, wynalazki, pomysły, nowe metody pracy. W ustrój kapitalistycznym „trzymano się oburącz starych, nawet przestarzałych metod pracy, byle tylko utrzymać się na powierzchni. Byleby nie być skazywanym na bezrobocie. A pracodawcy również nie zależało na ewentualnych zmianach, mogących poprawić byt robotników. Uznawali on tylko takie zmiany, które zmniejszały ilość zatrudnionych w jego przedsiębiorstwie”. W tych warunkach — pisał dalej Piotr Trzeński — „nikomu z nas nie zależało na pościechu. Wręcz przeciwnie. Pracowaliśmy jak najwolniej, żeby móc tę pracę ciągnąć jak najdłużej”.

Pracownik usiłował trzymać się kureczowo zakładu pracy. W poszukiwaniu chleba chwycił się każdego zajęcia, wędrował od fabryki do fabryki. J. Krajewski inicjator zespołowej metody pracy w murarstwie wykonywał zawody koszykarskie, pikolaka, parobka, forsyja, subiekta, murarza. M. Łykowski tokarz-racjonalizator był nakładaczem w drukarni, robotnikiem drogowym, robotnikiem ceglarni, instalatorem i wreszcie tokarzem. J. Nieruchy, przodujący rebażer, spełniał obok wielu funkcji górniczych — funkcje pomocnika murarskiego, malarza pokojowego, tragarza, pracował na „hałdach”, łowił ptaki, hodował ryby i bobry — byle tylko utrzymać się przy życiu.

Dziś sytuacja jest odmienna: pracownik ma możliwość stałego wykonywania swego zawodu, ustawicznie się w nim doskonali. Fabryka, zakład pracy wytwarza rodzaj „patriotyzmu zakładowego”. Można by ją nazwać szkołą właściwego stosunku do pracy. W takiej atmosferze rodzą się coraz to nowe osiągnięcia produkcyjne. M. Terpilakowa przedając tkacką wyraźnie dostrzega ten proces. „W naszej „Wielkiej Jedynce” panuje „zdrowy klimat”. Żyjemy wszyscy zgodnie. Administracja i załoga stanowią jeden zgrany zespół, mający wspólne cele i wspólne dążenia”.

Rodzi się nowy stosunek do zakładu pracy. Jest w nim poczucie dumy z osiągnięć, chęć ich utrwalenia i poszerzania. „Wielka Jedynka” jedna z pierwszych przyczynia się do ruchu współzawodnictwa i zajęła w nim jedno z pierwszych miejsc — mówi dalej Terpilakowa. „Na tablicy honorowej pojawiały się stale nowe nazwiska ludzi, którzy przyczynili się do postawienia produkcji na należytych poziomach. Tow. Henryk Łuszczyk osmiokrotnie zdobył tytuł przodownika pracy. Jeden z weteranów fabryki, sześćdziesięcioletni Józef Zygmunt — zdobył go pięciokrotnie. Czterokrotnie Irena

Karbowska i inni. A majster Zygmunt Bartczak, któremu tak wiele zawodziącym zaprowadził w swojej sali wielowarsztatowości.

Typowa jest radość z osiągnięć towarzyszy pracy. Radość, która usunęła, zrodzona przez kapitalizm zawiść, podejrzliwość, obawę przed konkurencją, „wygrzyzieniem” z pracy. H. Wójcik pisze: „Prawdziwą satysfakcją jest dla mnie to, że premiowani przodownicy niejednokrotnie mi mówili, że to mnie właśnie w dużej mierze zawdzięczają uzyskane rezultaty, bo zorganizowałem pracę w ten sposób, że uzyskałem tych wyników — i co za tym idzie — premii jest możliwie”.

Zagadnienia produkcyjne nie są jedynym czynnikiem zespajającym załogę. M. Terpilakowa podkreśla z naciskiem, że „również pod względem urządzeń socjalnych PZPW Nr 1 należy do przodujących zakładów pracy w Łodzi. Nasz żłobek uchodzi w Łodzi za wzorowy. W Tuszyńskim mamy dom wypoczynkowy dla dzieci, dokąd całe przedszkole wyjeżdża na trzy miesiące letnie. Wreszcie fabryka posiada swój własny zakład krawiecki, szewski, oraz fryzjerski, a ceny w tych zakładach są znacznie niższe od cen rynkowych”.

Właściwa atmosfera na terenie zakładu pracy powstaje w wyniku współdziałania czynników, powołanych do kierowania zakładem pracy. Współzawodniczący wielokrotnie wskazują na znaczenie, jakie dla ich wysiłków ma poprawne funkcjonowanie Rady Zakładowej, Dyrekcji, Organizacji Partyjnej. „Nigdy nie osiągnęliśmy tych rezultatów, jakie osiągamy, gdybyśmy szli samopas, bez żadnej organizacji. Te organizacje istnieją. Jest nią Podstawowa Organizacja Partyjna i Rada Zakładowa. Mamy też Komitet Współzawodnictwa, który poprzez komisję, organizacyjno - popularyzacyjną, techniczno-ekonomiczną i wyników nadaje ruchowi współzawodnictwa formy organizacyjne. Poza tym regularne narady wytwórcze przyczyniają się w dużej mierze do usuwania braków niedociągnięć w produkcji”.

Nie oznacza to oczywiście, aby droga przodowników i racjonalizatorów była łatwa. Z trudem i uporem trzeba było torować drogi rozwoju ruchu, zdobywać uznanie dla jego osiągnięć. Konserwatyzm, rutyniarstwo, niewiara w możliwości i zdolności robotnika, — oto wrogość ruchu współzawodnictwa i racjonalizatorstwa.

J. Suplicki, tokarz z Pafawagu, stwierdza: „Na moją wysoką normę reakcja „góry” to jest kalkulatorów i kierownictwa była bardzo dziwna. Kalkulator obniżył mi zaraz czas przeznaczony na wykonanie jednej sztuki, nie wykazując przy tym zainteresowania co spowodowało u mnie tak dobre wyniki”.

J. Walaszczyk opisuje swoją bitwę z biurokracją: „Rysunek przyrządu można było wykonać w kilka godzin. Rysowano go w biurze konstrukcyjnym 5 dni... i narysowano źle. Przede wszystkim do sprawy wykonania znaczniaka w Mennicy Państwowej znów o kilka tygodni. Poprawie rysunek w Mennicy musiałem sam. Był on tak dziecinnie prosty, iż trudno było zrozumieć, jak można go było wykonać źle! Ktoś robił tu wyraźnie na złość...”

Podobnie M. Łykowski: „Góra” odnosiła się do mego pomysłu niechętnie. Tkwił jeszcze ciągle w starych pojęciach, stali na stanowisku, że tylko tak, jak ich uczono, jak za ich czasów pracowano jest dobrze i że nie należy tymi „świętościami” wstrząsać. Wyrobiecie przez kogoś zbyt wysokiej normy uważali za kompromitację dla fabryki, gdyż dowodzi to, że posługiwała się ona fałszywymi normami”. Otwartą, bezlitosną walkę wszczął wróg klasowy z Henrykiem Garbaczem, osadnikiem rolnym, konstruktorem maszyn do przerywania buraków. Maszyną, zastępując pracę ręczną uniezależniała biedotę wiejską od bogaczy. „Moi sąsiedzi — mało- i średniolotni chłopcy orientowali się, że dzięki tej maszynie nie będą już zmuszeni całymi dniami zginąć się nad burakami. Wiedzieli, że maszyna ta jest narzędziem walki klasowej — walki, która wyzwoli ich od przewagi bogaczy w uprawie buraków. Naraz niebó pokręciło się krwawa łuna, a niemal równocześnie z sąsiednich domów zagrzmiął głos trąbki,

zwiastującej pożar. Kiedy znaleźliśmy się na wzgórzu, obok wsi, oczom naszym przedstawił się straszny widok. Stodoła moja, pełna zboża i koniczyzny — płonęła. Dopiero później dowiedziałem się, że była to zemsta bogaczy, którzy nie mogli przeboleć tego, iż mało- i średniolotni chłopcy chcą się od nich uniezależnić”.

Licznych metod walki używa wróg klasowy, by zahamować wzrost produkcji. Jednak przodownik pracy — racjonalizator wychodzi z tej walki zwycięsko. H. Garbaczowi przysłała z pomocą robotnicza ekipa łączności ze wsią, Łykowskiemu, Suplickiemu, Walaszczykowskiemu przysłała z pomocą komórki partyjne.

Podobnie kierownictwo techniczne, Dyrekcja wskazuje możliwości podnoszenia wydajności, inicjuje wysiłki w tym kierunku, wskazuje lekturę, poleca teoretyczne przepracowanie wyników. Dyrektor huty, Pierzyna, awansowany z robotnika, dzięki znajomości pracowników, zleca im zadania i funkcje, leżące w zakresie ich zdolności i zamiłowań, stwarzając w ten sposób możliwości nowych osiągnięć.

Wspomniana już kilkakrotnie Maria Terpilakowa jest dumna ze swoich dyrektorów. „Tak się jakoś dziwnie składa, że na czele naszej fabryki od roku 1947 stoją kobiety. I chociaż początkowo śmiano się „z babskich rządów” przekonano się rychło, że kobieta potrafi kierować zakładem pracy nie gorzej niż mężczyzna”.

Fabryka jest szkołą socjalistycznej pracy. Najlepsze metody pracy — to te, które wypracowali — domagają się tego sami ich twórcy. T. Muraszew, ślusarz - mechanik, stwierdza, że „trzeba, by doświadczenie raz przez kogoś nabyte — było jak najbardziej udostępniane innym. Nie powinna ginąć nawet okruszyna tego, co się zyskało w ciągu długich lat praktyki”.

Uwagi przodowników na temat metod prowadzących do wielkich osiągnięć produkcyjnych są proste i zrozumiałe. Szczepan Kuderski, twórca brygady przeciawaryjnej „Czerwona Trzebnia” podkreśla, że „do roboty trzeba umieć podejść. Nie sztuka robić siłą tak, żeby pracownik urobił się po łokcie i nie z tego nie miał. Ja sobie każdą robotę najpierw muszę dokładnie obejrzeć, muszę pomyśleć, czy można ją zrobić technicznie (tzn. przy zastosowaniu maszyn). Muszę tak sobie napróżd obmyśleć, ażeby nie było wypadku ani szkody”.

M. Łykowski jest zdania, że nawet małe usprawnienia, pilność, punktualność, zdyscyplinowana praca, obliczenie czasu i ruchów — decydują o wyniku; „kto przez cały czas nie myśli, jakby najlepiej wykonać zadanie, nigdy nie zajmie czołowego miejsca”.

Jakże proste się wydają cztery zasady wydajności, sformułowane przez Czesława Zielińskiego: pełne wykorzystanie dnia roboczego — rozpocząć pracę natychmiast po zjechaniu na dół; dbałość o narzędzia — mieć je zawsze w pogotowie oczyszczone, wyreperowane, zadbane do pracy; mieć świadomość, misję stosunek do pracy, szukać nowych dróg, prowadzących do lepszego wykorzystania techniki, wprowadzać coraz to nowe ulepszenia; organizacja pracy — umiejętnie łączyć czynności.

Te proste zasady, konsekwentnie urzeczywistniane zrewolucjonizowały naszą produkcję. Wysoki odsetek przekraczających dawne normy produkcji dowodzi, jak bardzo były one zafasowane. Od przeciętnej dobrej wydajności pracy murarza, pracującego indywidualnie, która wynosiła 800 cegieł, — do wydajności zespołu murarskich z listopada 1949 r. — 34200 cegieł uświadcznia się rewolucja w doskonaleniu techniki produkcji i organizacji pracy.

Czy bohaterem pracy trzeba się urodzić? Na pewno nie. Można się nim stać. Przodownik pracy wyrasta w twardej pracy nad sobą, jest wspierany przez Partię i Związki Zawodowe. W śmiałych próbach doskonalenia techniki produkcji, drobnych nieraz ulepszeniach, nieugiętej i świadomej woli służenia ludowej ojczyźnie — szukać należy źródeł masowego ruchu współzawodnictwa i racjonalizatorstwa. W tym właśnie ruchu wyrasta bohater naszych czasów — przodownik pracy.

Kazimierz Kakol



Mal. Edmund Czapnicki

Przodownik pracy kopalni „Slask” Jerzy Malik.



Mal. Antoni Bartkowski

Racjonalizator z Krakowa Jan Grabowski.



Mal. Bronisław Brylner

Chlewnistrz Józef Sosnowski przodownik z P. G. R.

*) Z II Ogólnopolskiej Wystawy Portretów Przodowników Pracy i Racjonalizatorów.

*) J. Kofman „Współzawodnictwo a Związki Zawodowe”. „Myśl Współczesna” 2/50.

GROMADA O PLANIE SZESZCIOLETNIM

JÓZEF BIENIEK

DRABINA DOBROBYTU I KULTURY

Tak plan sześcioltni rozumieją biedacy wiejszy: jako drabinę społeczno - gospodarczą i kulturalną, po której masę bez, mało i średnio-rolnego chłopstwa piąć się będą ku lepszym. Tak rozumieją i dlatego się cieszą.

Województwo krakowskie otrzymało w wyniku realizacji planu 37 nowych obiektów przemysłowych. Trzydzieści siedem! Aby zrozumieć w pełni potężny sens tej cyfry trzeba rozpatrywać ją na tle specyficznych warunków i stosunków, jakie mimo reformy rolnej i dużego odpływu ludności do miast, czy na ziemie odzyskane — wciąż jeszcze na terenach wsi górskich istnieją.

Wzweźmy dla przykładu powiat limanowski, jako najbardziej tego typu zjawisk charakterystyczny, gdzie przeludnienie, rozdrobnienie gospodarstw, nędza i suma biedy dochodzą do punktów kulminacyjnych. Oto struktura społeczno-gospodarcza tego powiatu:

Obszar ogólny — 95 199 ha w tym ziemi ornej — 38 728 ha, ilość gospodarstw — 22 236, w tym od 0 — 1 ha — 9 233, ludność wiejskiej 90 000, zakładów przemysłowych — 8, ilość osób zatrudnionych w przemyśle — 700.

Nie trzeba mieć zbyt bójnej wyobraźni, ani zbyt wysoką wiedzę, aby zrozumieć tragizm takich cyfr i takiej sytuacji. 9 233 „gospodarstw” od 0 — 1 ha, to 9 233 rodziny, to plus minus 40 tysięcy osób wegetujących, na beznadziejnie miniatury-poletek, beznadziejnie li-chęj górskiej ziemi. Nie mówiąc już o tych tysiącach, które kłapią równie ciężką biedą na gospodarstwach od 1 — 3 ha.

Charakterystyczne to życie w sposób nie wymagający komentarza, głosne tu kiedyś powiedzonko: „gdymy pański ples żył jak limanowski chłop — wsklebył się dawno i zdechł”.

Istnieje więc gwałtowna i nagła potrzeba szukania radykalnych elementów profilaktycznych, któreby były w stanie raz na zawsze, racjonalnie i konsekwentnie zapobiec dalszej degeneracji społeczno - gospodarczej tych terenów i rozwiązać dręczące wieś tutejszą problemy. Oto właśnie zatroszczyli się twórcy planu sześcioltni, postanawiając na terenie województwa krakowskiego zaistniewać owe 37 zakładów przemysłowych, z „Nową” Hutą na czele. One to właśnie staną się dla tak licznych mas biedniackich Podhala owa drabina awansu społecznego, gospodarczego i kulturalnego.

Wiążę się też problem ten najciślej z zagadnieniami przebudowy ustroju rolnego. Jest przecież jasne, że tereny na których dominującym typem gospodarki jest obiekt od 0 — 2 ha nie mogą tak długo stać się terenem intensywnie i racjonalnej organizacji nowych form gospodarki rolnej i bytowania chłopskiego, jak długo nie zaistnieją tu szerokie kanały dla odpływu z przeludnionych wsi jak największej ilości biedniackiego elementu. Tym kanałem będzie właśnie plan sześcioltni.

Te to właśnie momenty sprawiają, że o planie sześcioltnim w sferach biedoty wiejskiej myśli się i mówi dużo i jaknajbardziej pozytywnie. Z ufnością i nadzieją, ciepło i życzliwie. Jak o czymś bardzo drogim i ważnym. Właśnie tak, mimo ostrej kampanii ze strony elementów reakcyjnych, które zdając sobie sprawę z faktu, że plan, o który chodzi, stanie się dla r. n. tej drabina, ale do zejścia w dół — wytyżają i wytyczają będą wszystkie siły, aby postanowienia planu ośmiścić, wykpić, zbagatelizować i poni-

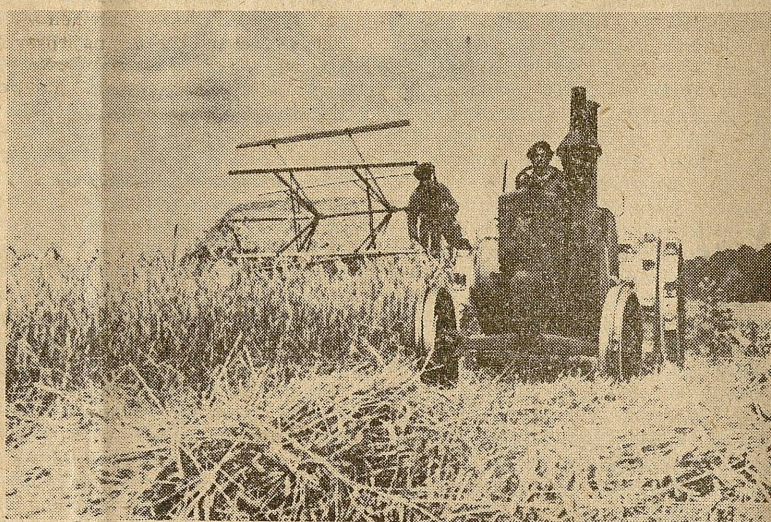
żyć, a wiarę w niego podważyć i osłabić.

Nie znam szczegółowej dyslokacji obiektów zamierzonych w planie na tutejszym terenie. Słychać jednak, że w limanowskim nie powstanie żaden większy obiekt. Jeżeli to prawda — to prawda ta jest wynikiem pomyłki, lub nie zbyt dokładnej znajomości panujących tu warunków i stosunków.

Właśnie tu, wcześniej niż gdziekolwiek, winien stanąć duży zakład wytwórczy, jedna z owych 37 dra-

bin, po której tak licznie tu biedacy mogliby wyostać się z dna niedoli na jasny brzeg dobrobytu. Właśnie tu, aby wspomnianych 9 233 bezrolnych i matorolnych znalazło ważką możliwość awansu do rangi najwykleszego człowieka. I właśnie tu, aby uwolniona od ciężaru zbędnych sił roboczych wieś, mogła przystąpić do rewalucyjnej przebudowy rolnictwa poprzez spółdzielczość produkcyjną.

Józef Bieniek



Zniewa w P. G. R. Racot woj. poznański.

STANISŁAW HERMAN

PLAN SZESZCIOLETNI NIE ZAPOMNIAŁ O POWIECIE LIMANOWSKIM

Sprawa lokalizacji roszarni w m. Łososina Górna k/Limanowej trwała długo. Przemysł roszarniczy wybrał początkowo teren pod nową roszarnię w miejscowości Sucha na Żywiecczyźnie podczas gdy zdaniem czynników miejscowych jak Komitet Wojewódzkiej Partii, Wojewódzka Rada Narodowa, Wojewódzka Komisja Planowania Gospodarczego — zakład ten winien być ulokowany na terenie powiatu limanowskiego, a konkretnie w miejscowości Łososina Górna pod Limanową. W wyniku bowiem wielkiego zaniedbania gospodarczego odziedziczonego po rządach kapitalistycznych rejon podgórski wymaga poważnej aktywizacji, która musi być dokonana w okresie planu 6-letniego. Ze wszystkich powiatów podgórskich woj. krakowskiego jedynie powiat limanowski nie uzyskał dotychczas żadnego poważniejszego z planowanych w sześciolcie zakładu przemysłowego, który mógłby zaktywizować go tak gospodarczo jak i politycznie. Na terenie limanowskiego w strukturze gospodarstw rolnych przeważają gospodarstwa karłowate, nie dające pełni utrzymania swoim właścicielom. Wyraźnie odczuwa się też brak mocnego ośrodka klasy robotniczej, co opóźnia zaktywizowanie się społecznie tego terenu. Naturalnie, opisany wyżej obraz nie stanowi cech charakterystycznych tylko powiatu limanowskiego; wszystkie te cechy dominują na całym Podgórzu, a więc też i na Żywiecczyźnie. Jednakże rejon Suchej, Żywca, Andrychowa są to tereny, na których praca na roli nie jest jedynym źródłem utrzymania rodzin rolniczych. Pracują oni

w stosunkowo licznie występujących tam zakładach przemysłowych.

Przeistniała aktywizacja gospodarczej i społecznej winna mieć główne znaczenie przy lokalizacji omawianej roszarni.

Przemysł roszarniczy miał jednak wątpliwości i występował przeciwko tej propozycji z dwóch powodów: wszczął już pewne prace, mające na celu zlokalizowanie roszarni w Suchej, ponadto podchodząc do sprawy lokalizacji z pewnymi jeszcze tradycjami kapitalistycznymi, obawiał się trudności inwestowania na terenie dotychczas nieuprzemysłowanym, obawiał się także trudności związanych z utrzymaniem pracowników wykwalifikowanych przy zakładzie położonym w miejscowości nie zapewniającej im możliwości korzystania w pełni z urządzeń usługowych, pod którym to względem miało Sucha w chwili obecnej przewyższa miasto Limanowe. Nie uwzględniono jednak w tej argumentacji tego, że właśnie zakład przemysłowy poprzez swoją lokalizację w miejscowości słabo zaktywizowanej gospodarczo spowoduje rozwój ośrodka usługowego, który w pierwszym rzędzie ma służyć dla zaspokajania potrzeb pracowników tego zakładu, jednocześnie powodując wzrost obsługi pozostałej ludności.

Jednakże niektórzy fachowcy z przemysłu roszarniczego długo nie chcieli uznać słusznych argumentów czynników terenowych. Dopiero po komisyjnym obejrzeniu terenów i porównaniu ich wartości okazało się, że teren w miejscowości Łososina Górna koło Limanowej jest właśnie terenem idealnym dla lokalizacji roszarni, nawet patrząc nań od strony wymagań technicznych zakładu, podczas, gdy teren proponowany przez inwestora w Suchej okazał się terenem trudnym dla realizacji tego typu inwestycji. W związku z powyższym oraz biorąc pod uwagę przede wszystkim korzyści społeczne, wynikające z lokalizacji roszarni w Limanowej, po przekonaniu przedstawicieli przemysłu roszarniczego komisja zgodnie ustaliła, iż roszarnia, która miała być początkowo realizowana w innym miejscu województwa krakowskiego będzie się budować w miejscowości Łososina Górna koło Limanowej.

Z tego krótkiego przebiegu „bitwy o zakład” w woj. krakowskim widzimy, jak poważne możliwości mają władze terenowe, szczególnie po ostatnio dokonanej ich reorganizacji i scaleniu w zakresie planowego oddziaływania na prawidłowe rozmieszczenie zakładów produkcyjnych na swoim terenie, a tym samym na aktywizację terenu. Tym bardziej jest to ważne, że tak jak to w powyższym wypadku miało miejsce, niektórzy fachowcy, działając jeszcze pod wpływem kapitalistycznych tradycji lokalizacji zakładu i nie uwzględniając w należytnym stopniu jednej z głównych przesłanek planu 6-letniego, mówiącej o aktywizacji terenów zaniedbanych. Zrozumiałym jest, że liczba takich „fachowców” coraz bardziej maleje w związku z przychodzeniem nowych sił w drodze awansu społecznego oraz w wyniku przyswajania przez znaczącą część inteligencji technicznej, o której mówił Prezydent Bolesław Bierut na IV Plenum KC PZPR, zasadniczych przesłanek socjalistycznego planowania.

Stanisław Herman

KAZIMIERZ BARTYZEL

WIEŚ MOJA MA TEŻ SWÓJ PLAN SZESZCIOLETNI

Wieś Stanisław Dolny to jedna z większych gromad gminy Kalwaria Zebrzydowska, powiatu Wadowice woj. krakowskie. Na około 700 ha pagórkowatej łągi, „podmokłej, kwaśnej i do dziś resztkami lasów wydieranej ziemi stoi 240 domów i domków, w których żyje wygodnie lub gnieździ się około 300 rodzin, dających w sumie pokazną liczbę, bo około 1500 obywateli tej gromady. Dane liczbowe mówią wyraźnie, że wieś ta jak i wszystkie wsie podgórskie cierpi na przeludnienie i to bardzo znaczne. I dlatego chłop tutejszy utrzymuje się na powierzchni życia, to zasługa nie tyle przewracania 2 razy do roku wąskich zagónów kopaczkami, ale przemysłu chałupniczego, który w tej okolicy istnieje od lat. Stolarz, szewc, krawiec i w samej Kalwarii wyrobnia choć różna w ocenie opinii. Przemysł ten jednak ma ograniczone możliwości i nie ujęty do niedawna w ramy spółdzielczości i planowej gospodarki powodował różne kryzysy, a tym samym potęgował wyzysk przez silniejszych i sprytniejszych miejscowych kapitalistów. Dowodem tego może być fakt, że taki miejscowy potentat płacił chałupnikowi w r. 39 za uszycie pary spodni 20 gr. a pary butów 95 gr. Przybywanie ludności zarówno miejscowej jak i z bliskich gór nasycę ten teren do takich r. miarów, że w każdym prawie domu są dziś ręce, szukające pracy.

Wskutek fatalnego położenia terenowego, co powoduje rozbicie wsi na odrębne przysiółki, wskutek przeludnienia i wskutek jakiejś dziwnej inercji wieś ta stoi dopiero w progu przemian. Brak jej ziemi, którą może dać tylko odpływ znacznej części ludności na Ziemię Zachodnią lub do pobliskich ognisk przemysłowych w Andrychowie, Kalwarii, Krakowie i Oświęcimiu. Brak drogi o trwałej nawierzchni od stacji kolejowej, brak szkoły gdyż obecna rudera mieszcząca 270 dzieci, SP kursy rolnicze trudno nazwać szkołą, brak domu ludowego do zebrania, brak światła elektrycznego.

Droga, szkoła, światło to 3 słupy wokół których ogniskuje się zagadnienie lepszego jutra wsi Stanisław Dolny.

Plan 6-letni dla tej wsi jak i dla wszystkich wsi woj. krakowskiego i rzeszowskiego to nie tylko biogospodarstwo jak się często słyszy, to po prostu konieczność, to kres nieopisanego przez długie dziesięć lat tzw. „nędzy galicyjskiej”. Na przykładzie wsi Stanisław Dolny widać olbrzymie i konieczne potrzeby i tych potrzeb nie zaspokoi żadna charytatywna akcja, tylko konkretny plan, którym w tym wypadku jest plan 6-letni.

Tak się jakoś szczęśliwie złożyło, że wieś opisanywa jest na drodze do rozwiązania wszystkich nurtujących ją problemów.

I. Stolarze, szewcy, krawcy organizowani są planowo w tworzących się w pobliskiej Kalwarii spółdzielniach i nie potrzebują się obawiać ani kryzysów, ani zmian.

II. Nadmiar ludności ma nieograniczone wprost odpływy do reszających w oczach zakładów andrychowskich, oświęcimskich, chrzanowskich, Nowej Huty i wielu innych. Nie walka o pracę, o chleb, beznadziejne oczekiwanie co przyniesie jutro, ale walka o pracownika i o jego jakość — zaczyna być sprawą w całym województwie krakowskim.

III. Rozpoczęto budowę srozy Wadowice — Kraków i planowany odcinek od stacji uczynią naszą wieś atrakcyjnie turystyczną. Drogi te w 1953 roku będą gotowe.

IV. Wapno pod nową szkołę zadołowane, kamienie się wozą i w planie 6-letnim ma stanąć piękny budynek, który pomieści nie tylko przedszkole (już istniejące), szkołę o 8 naucz. SP, kursy rolnicze, ale i salę teatralną i kinową dla całej ludności.

V. Światło, które oświeca dopiero końcówki domy wsi, zabłyśnie przy końcu planu 6-letniego nawet w najbardziej zapadłej chacie. Wieś będzie zradiofonizowana.

VI. Ludność zajęta tylko rolnictwem na drodze spółdzielczości produkcyjnej ulepszy uprawę roli przez stosowanie lepszych maszyn i zwiększy hodowlę bydła. Dwie części nieużytków i łąk gruntów ulegnie zalaniu, znikną moczary i bagna, lub obrócone będą na pastwiska, a reszta pójdzie pod żyto, ziemniaki i len.

To są rzeczy nie tylko wypisywane w planie 6-letnim ale już w tym roku realizowane a poza punktem IV nawet dość zaawansowane. Czy przebudowa ta nastąpi jednak tak gładko, szybko i bez przeszkód? Nie! Ogromny konserwatywny chłop, przekleśny spadek ustroju kapitalistycznego podtrzymywany przez wrogą propagandę, zacofanie i ogromna nieufność do wszelkich poczynąń ka-żde jeszcze długo i ciężko walczyć. Chłop podkrakowski jest jeszcze zacofany i głęboko schowany w cieniu kościoła. Zrobienie głupiego chodnika z płyt cementowych obok jego domu wymaga lat tłumaczenia i przekonywania, by odstąpił pół metra ziemi i by ułożył przed swoim domem parędziesiąt płyt, ale by kupić chorągiew do kościoła i by ją tam grzyły mole i by świadczyła o jego pysze, to kwestia parę godzin. Czy jednak ten drastyczny, ale niestety autentyczny wypadek może da-

wać powód do przypuszczeń, że walka z uprzedzeniami chłopu będzie zbyt trudna? Nie.

Rosnie bowiem wpływ i Partii i Samopomocy Chłopskiej a najbardziej przekonują chłopów fakty konkretne. Powstanie nowego miasta koło Krakowa napawa robotnika twórczym zapałem i dumą. Chłopi odnosili się do tego dzieła z początku z nieufnością: czy aby to zrobili? Dopiero gdy widza rosnące nowe domy, nowe fabryki zostają przekonani, a jeśli zostali przekonani to mocno i na zawsze. I dlatego chłop tutejszy, tyle lat oszukiwany przez rządy kapitalistyczne, Rząd Polski Ludowej przekonuje planem, bo za nim idą fakty. Mówią mu o nim jego własne dzieci czy sąsiadów, że w Andrychowie, w Oświęcimiu, w Nowej Hucie, już dziś jest to a to, a nad Dunajcem będzie się robić tamto i zaczyna rozumieć, że uprzedze-

nie jego powodowane było często szeptaną wrogą propagandą. Zarzykowałbym twierdzenie, że zawzięcie chłopu do Nowej Huty, do Oświęcimia bardziej go przekona, jak długie rozumowanie. Polska Ludowa nie musi już przekonywać, Polska Ludowa ma co pokazać, ma czym przekonać i to jest radosne, że te namacalne dowody rosną i mnożą się.

Wielu ludzi w Polsce zasłużyło sobie na pomniki i wdzięczność u potomnych. Do tych zasłużonych dojdzie jedno nazwisko, człowieka, który pierwszy rzucił myśl stworzenia Nowej Huty, człowieka który decyzyjnie z zlikwidował problem „nędzy galicyjskiej”.

Taki pomnik wystawi mu kiedyś Stanisław Dolny i podobne jemu tysiące. Oby każda dzielnica Polski miała takiego bohatera.

Kazimierz Bartyzel

STANISŁAW KRAKOWIAK

CHŁOPI GMINY ŁAZANÓW O PLANIE 6-LETNIM

Kiedy chłop z gminy Łazanów czyta, lub rozmawia o Planie 6-letnim nie wątpi w jego realizację. Przekonał się namacalnie, we własnym terenie, że nie możliwe stały się możliwości. Plan Trzyletni gminy został wykonany i przekroczony.

Mieliśmy też swój planik trzyletni gminy — mówi Marusik Władysław — działacz społeczny b. wójta i obecnie prezes Gminnej Spółdzielni. Trzeba było przecież zbliżyć Trzyletni Plan do naszego środowiska, do ludzi a szczególnie do tych wątpliwych niedowiarów, PSL-owcy ze wsi Łazanów i Popielawy podśmiewali się z planu państwowego i z naszego gminnego. A jednak i ich wciągnęło i oni spostrzegli jak włączyli się do budowy przystanku kolejowego Łazanów, do elektryfikacji i radiofonizacji. Dziś zębami i pazurami broniliby zdobyczy, z których korzystają. Mają się czym pochwalić przed chłopami z gminy Będków, Ciołny czy Mikulajowa.

Ignacy Stasio kilkuhektarowy gospodarz z Rokicin mówi: „Chłopa przekonasz faktami. Rozumie on Plan państwowy, gdy o nim czyta czy rozmawia. Ale plan państwowy staje się chłopskim, kiedy chłop widzi, że na jego podwórku we wsi, gminie zmienia się z roku na rok, że się buduje szkoły, powstają dziecińce, Ośrodki maszynowe, sklepy spółdzielcze, załączają radio, światło...”

A Mikołaj Józef malarz chłop z Rokicin często powtarza: „Jeżeli w trzy lata na naszym gminnym podwórku założyliśmy i szkołę średnią, i Agencję Poczтовую w Popielawach, przystanek kolejowy Łazanów, targowisko ZSCH, burse TBS i przeprowadzono w kilku gromadach radiofonizację, telefonizację i elektryfikację, to dwa, trzy razy więcej zrobimy w planie sześcioltnim w naszej gminie i Polsce!”

Kuchta, Maria średniorolna gospodyni z Rokicin jest niezmordowaną działaczką w swojej wsi i gminie. Przed wojną pracowała w „Wielichach”. Teraz w Kole Gospodyń i w Raizie Gminnej. Należy do ZSL-u. Ta drobna, energiczna kobieta pojmuje plan 6-letni jako poważne, trudne ale nie zadane zadanie.

„Plan sześcioltni — to tak jakby szkoła średnia. Tamten trzyletni — to tak by powszechna. Trzeba mocno zabrać się do pracy. Nie bać się złobów i głupstw. Dorabiamy się i dokształcamy. Ale egzamin musimy zdać celując! Trzeba tylko w mojej wsi, w sąsiednich i pewno w całej Polsce inaczej pójść do ludzi. Suka! trzeba sposobów dojecha do ludzi. Nie należy komenderować! W tworzeniu faktów gospodarczych, w uświadomieniu, w sąsiedzkiej dobrej współpracy i agitacji leży klucz przeobrażenia duchowych chłopu.”

„Ja wiem — ciagnie dalej Kuchta Maria” — że lepiej, o całe, niebo lepiej będzie w zespołowych gospodarstwach. Ale chciałabym, abyśmy przede wszystkim p. zy pomocy Partii, radby naszego dopilnowali i u-zdrowili stosunki panujące w gminnych spółdzielniach, przy których szerzy się pijanstwo (Łazanowska Wola), marnują się towary, zle są obsługiwani klienci, brak kontroli poszczególnych sklepów, a przecież najlepsza nawet robota, musi być kontrolowana. Ludzie patrz na te kwiatki, gorszą się i zniechęcają. Dlaczego to partia w gminie Łazanów nie widzi spekulantów i łazików, którzy nie orzą ani sieją, a żyją i dobrze żyją. Dlaczego M. O. nie ściga za potajemnymi knajpkami, które demoralizują, osłabiają rozum i siły ludzkie do pracy?

Potrzebny jest dobry Ośrodek Maszynowy, piekarnia spółdzielcza, magiel, dziecińce, świetlica, kino, ośrodek zdrowia. Potrzeba, aby ZSCH kierował młodzież do szkół rolniczych gdyż wszyscy idą do miasta do

zawodowych. A i tu na wsi potrzeba dobrych agronomów i techników.

Strasza nas bogactwem Planem Sześcioltnim — mówi jeden z nadziałowców z Popielaw — ale my się nie boimy. Spółdzielnia produkcyjna u nas niedługo będzie. Pomogły nam w te żniwa maszyny z Ośrodka. Sprzątaliśmy zboże przedzaj niż bogactw! To nas przekonało!

Plan Sześcioltni stał się dla bogaczy i spekulantów w naszej gminie zmorą grzebiącą ich w dzień i w nocy. Oni najchętniej ten plan znają. Wiedzą, że wtedy gdy będzie się budować w Polsce a na wsi w szczególności podstawy socjalizmu — skończy się ich panowanie. Muszą się zabrać do uczelni pracy. Półki mogą straszyć, wahaających się średniaków i uległych im biedniaków. Niektórzy mało i średniorolni chłopci z Popielaw również nie mogą spać po nocach, bo jeszcze nie rozumieją, korzyści dla siebie z tych wszystkich przemian rewolucyjnych jakie zapowiada Plan 6-letni. Wszystkie uroczystości rodzinne, chrziny, wesela, pogrzeby są za przepełnione rozmowami na ten temat.

Rozsądniejsi chłopci z Łazanowa i z Rokicin śmieją się po cichu z obalamocnych Popielawaków, którzy nie chcieli założyć nawet dziecińca w te żniwa. Wygrał na tym Łazanów. Około 70 dzieci korzysta z opieki i wyżywienia. Ulatwia to rodzicom pracę w polu. W roku szkolnym czynnie jest przedszkole w Łazanowie. Coraz lepiej rozwija się Koło Gospodyń ZSCH, zlewnia mleka, ZMP itd. Kto wie czy Łazanów nie pierwszy pójdzie do spółdzielni produkcyjnej niż Popielawy.

Chłopi naszej gminy nie wątpią w to, że o 50 proc. podnieść można, tak jak Plan przewiduje produkcję rolną. „Jeśli będą nawozy. Jeśli będzie dobry agronom i rejonizacja w uprawach — przy gospodarce zespołowej da się to zrobić”.

W naszej okolicy przewiduje się zwiększenie upraw pszenicy i jęczmienia zimowego. Kobiety i ko świątejsi gospodarze chcą podnieść uprawę roślin przemysłowych: len, konopie, rzepak. Planowanie zasiewów wiośennych czy obecnie jesienicznych nie natrafia na większe trudności. Ludzie bowiem stopniowo przekonują się o słuszności planowania.

Bogatsi gospodarze, bojkotują kontraktowanie zboż, okopowych, i trzody chlewnej. Wywożą wyprodukowane towary do bliższej Łodzi na wolny rynek. Co czwartek nocą skrzypią ich wozy i mrugają niekłe światła latarek. Sprzedają tam drożej i śmieją się i jedzą sąsiadów. W Ujeździe ostatnio sprzedawali po 3 800 zł za 1 q żyta!

Chłopi w naszej okolicy mało (23 proc.) i średniorolni (72 proc.) nie dają sobą kręcić, z dnia na dzień utrwała się w nich przekonanie o trwałości i sile władzy ludowej, że ta władza stwarza warunki jaknajlepszego rozwoju dla ich dzieci, które się kształcą w szkołach i pracują w fabrykach. Ze ta władza robotniczo-chłopska buduje, organizuje uczy, pomaga, radzi po chłopku po gospodarstwu.

Trzeba tylko przyznać, że organizacje partyjne i społeczne gospodarze za mało upowszechniają plan sześcioltni wśród ludności. A w akcji tej wzięć powinna udział i PZPR i ZSL i Rada Gminna, ZSCH, KGW i ZMP. Aby chłop z Rokicin, Popielaw, Mikulajowa żył Planem państwowym 6-letnim musi widzieć go „koło siebie” w swojej gminie i wsi.

Trzeba dać mu radość realizowania mniejszego wiejskiego, czy gminnego planu w oparciu o wielki Plan Państwowy. O tym powinni wiedzieć działacze wiejscy, aktywi środowiska wiejskiego.

Stanisław Krakowiak

JÓZEF ANDRZEJ FRASIK

PIEŚŃ O NOWEJ HUCIE

Budujemy miasto nowe,
Budujemy Nową Hutę.
W zwojach drutu, w beton zakute
dźwigają się ściany pionowe.

Góra brygady robecze!
Murarska to rzecz i sprawa,
by murów rosła sława,
gdy nad murem sztandar trzepoce.

Góra bloki, czerwone ściany,
sława górcom belek i cegły —
cegly z wapnem w mury się zbiegły:
stal, żelazo — i piach wiślany.

Sława ulicom nowym!
Betoniarki, łopaty, kielnie!
Drogi, sklepy — spółdzielnie
zamieniane w Czyn Lipcowy.

Sława wszystkim, każdej brygadzie,
murarom, inżynierom sława;
Nasza wspólna to rzecz i sprawa,
gdy pod Hutę przyszłość się kładzie.

JAN ŁAZARZ

W WALCE O ŚWIETLICĘ ^{*) 11}

Aby spełnić wielkie zadania, które przed organizatorami kulturalno-oświatowymi na wsi stawia wciąż przekształcająca się rzeczywistość, trzeba przezwyciężyć kilka zasadniczych przeszkód. Zatrzymam się nad dwiema sprawami, które dotąd nie znalazły rozwiązania: nad sprawą zabezpieczenia podstaw finansowych akcji kulturalno-oświatowej na wsi i nad sprawą kadr.

Związki Zawodowe przez jednego budżetu, że tak powiem „dyspozycyjnego”, w ręku C.R.Z.Z. mają jeszcze drugi budżet w postaci świadczeń zakładów przemysłowych obowiązanych dostarczać lokale dla świetlic, urzędowania dla nich, opału, światła, zobowiązanych także do udzielenia urlopów pracownikom na okres przeszkolenia świetlicowców. „Pierwszy” z tych budżetów wieś posiada w postaci bardzo skromnego i nie pokrywającego potrzeb — budżetu Związku Samopomocy Chłopskiej. Drugiego w praktyce nie ma (o teoretycznym jego istnieniu będzie mowa dalej). W wielu ludziach wydaje się, że gromada wiejska powinna z własnych środków urządzić wieś świetlicę. Przy braku znajomości rzeczywistych warunków na wsi założenie to wygląda słusznie. Jeśli chodzi o jednorozowy, nawet bardzo poważny wysiłek, np. wybudowanie domu na świetlicę, napotyka się przykłady dużej ofiarności wsi, dobrowolnego opodatkowania w gotówce i robotniczo. Ale przychodzą, że wybudowano już dom ludowy i teraz, aby opłacić światło, zbierać się składki, aby kupić opału — chodzi się od domu do domu, zbiera pieniądze, prosi o wóz i konie (15—30 km. nikt chętnie nie jedzie, brak już jest tych bodźców, jakie są przy budowie, kiedy cała gromada pracuje), kolacje do G.R.N., do spółdzielni itp. Przy tym świetlica ma też inne wydatki: na dekoracje, kostiumy, książki, urządzenie wnętrza, od mebli do firanek. Wydatki te sięgają nieraz poważnych sum.

W konsekwencji większa część energii organizatorów życia świetlicowego zużywa się na zabiegach gospodarczych. Do pracy kulturalno-oświatowej, bardziej skomplikowanej, wymagającej przygotowania rzeczowego, przemysłowej, drobiazgowej systematyczności i związanej z walką ideologiczną dla pokonania oporów ze strony elementów kulakowskich, przychodzi najczęściej aktywiści zaabsorbowani zagadnieniami finansowymi świetlic. Praca ciągle się rwie, ponieważ świetlica grozi zamknięciem z braku opatu, z powodu niedostatecznego remontu itp. Wreszcie „zabobnowe” nastawienie świetlicy wypacza treść jej pracy, skłania do urządzania zabaw dochodowych, z których zyski otrzymuje się najczęściej z bufetu alkoholowego, ponieważ bilety wstępu ledwie pozwalają na zapłacenie muzyki.

Jeśli dodać, że 90 proc. kierowników świetlic gromadzkich nie pobiera żadnego wynagrodzenia, to znacznie mniej zaczyna dźwigić niski poziom pracy w świetlicach.

Samowystarczalność gospodarcza świetlicy jest możliwa dopiero po dłuższym okresie dobrej pracy, kiedy świetlica zdobędzie uznanie w gromadzie, wychowa szerszy aktyw. Nawet w spółdzielni produkcyjnej nie od razu można obciążyć gospodarke spółdzielczą wydatkami na świetlicę. Spółdzielnia, inwestująca w pierwszym okresie duże środki w rozbudowę gospodarki; budowę budynków gospodarczych, zakup maszyn, narzędzi, czy zaradkowego bydląt, nie może z miejsca podejmować remontów, zakupić sprzętu świetlicowego, opłacić pracownika — bez pomocy z zewnątrz.

Słowem trzeba tak postawić zabezpieczenie materialne świetlic, aby umożliwić niezłomną kadre kulturalno-oświatową i niezależne jeszcze aktywność stałej troski o fundusze dla utrzymania lokalu w stanie używalności.

Jak wspomniano, budżet na te cele teoretycznie istnieje — składa się na niego: sumy z budżetów Rad Narodowych na cele kulturalne, 10 proc. czystego dochodu Gminnych Spółdzielni „Samopomocy Chłopskiej”, które walne zebrania mają prawo przeznaczyć na ten cel, jak również część premii za przedterminowe wpłaty podatku gruntowego i FOR-u, oczywiście tylko wtedy, jeśli Gminna Rada Narodowa uchwaliła takie właśnie użytkowanie premii.

Praktycznie jednak te sumy, które powinny stanowić bardzo poważne, w sełki milionów złotych idące pozycje*), albo wcale, nie są wykorzystywane, albo w minimalnym stopniu.

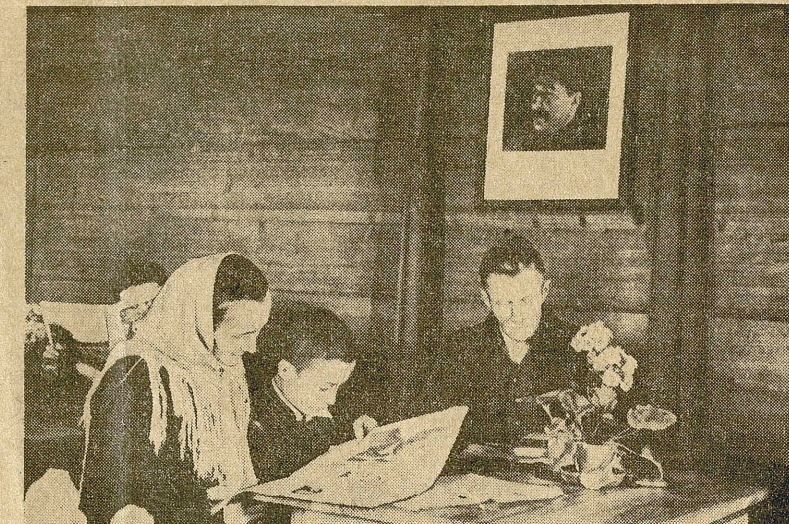
W okresie walnych zebrani spółdzielczych w roku ubiegłym stwierdzono, że uchwały o użytkowaniu 10 proc. na cele kulturalno-oświatowe podejmowane były bardzo rzadko. Miejscowi działacze-spółdzielcy kładli nacisk na wykorzystanie funduszy co do grosza na inwestycje gospodarcze spółdzielni. Nie jest też rozwiązana sprawa kontroli celowości wydatkowania tych pieniędzy, jeżeli już zostały przekazane na cele kulturalno-oświatowe.

Podobnie jest z kwotami w budżetach gmin. Charakterystyczne jest, że prace chłopskie odnotowuje wypadki przekazywania pieniędzy na cele związane z ruchem świetlicowym z budżetów G.R.N., premii i dochodów spółdzielni, jako zjawiska występujące stosunkowo rzadko.

Zdarzyło mi się w dyskusji nad zagadnieniem podstaw finansowych naszych świetlic wiejskich spotkać się z opinią, że należało by się zastanowić nad jakimś podatkiem komu-

na taki kurs zamiast na wyższą uczelnię lub do dobrze płatnej pracy w spółdzielni? A na co może liczyć po kursie? na 7.500 zł., jako kierownik świetlicy wiejskiej!

Okaże się może, że będzie dostateczna ilość zgłoszeń na kursy. Za- chodzi jednak obawa, że zgłoszą się ludzie, nie zawsze kierowani chęcią poświęcenia się pracy oświatowej. Będą to ludzie różni, przeważnie ta-



Czytelnia w Domu Lenina w Białym Dunaju

malnym na cele kulturalno-oświatowe. Masowe świadczenia chłopów przy budowie, remoncie i utrzymaniu świetlic, zdają się mówić, że podatek taki byłby na wsi zrozumiany. Składną propozycję te mają pozór rozważliwego wniosku oświatowca, który wypróbował już wszystkie dostępne środki dla zaopatrzenia świetlic, a mimo to ma ich w powiecie 50—60 bez stołu, stołki, szafki, szub, piecyka itp. Nie znając wszystkich za i przeciw oraz możliwości czerpania z innych źródeł trudno jest wniosek zaopiniować. Fakt jest, że został wysunięty.

Rozstrzygnięcie tych spraw i przejście od rozważań do wykonawstwa stworzyłyby trwałą podstawę pracy tam, gdzie do tej pory panuje paraliż.

Drugim podstawowym brakiem jest nierozwiązana sprawa kadr.

Zacznijmy od szczebla najniższego — od kierowników świetlic. Po długich rozważaniach przyjęto w zeszłym roku zasadę opłacania kierowników świetlic. Praktyka, bowiem, wykazała niezbicie, że w skali masowej w obecnych warunkach nie uda się pokierować pracą w świetlicach, jeśli wszystkie funkcje w świetlicy nie będą wynagradzane. Płatnemu kierownikowi można stawiać wymagania co do kierunku pracy, co do wykonania określonego programu, co do systematyczności w pracy. Spodziewano się także, że wynagrodzenie za pracę potrafi zaopiekować niepożądaną ucieczkę przeszkolonych kierowników świetlic. Praktyka wykazywała bowiem, że większość z nich odchodziła ze świetlic wkrótce po przeszkoleniu. Przeszkolenie na kursach i kilkumiesięczna praca w świetlicy stwarzały im szansę uzyskania pracy zarobkowej w licznych instytucjach gospodarczych i społecznych w gminie i powiecie: w spółdzielniach, zarządkach gminnych, organach administracji rolnej w SP i WF.

Na skutek takiej sytuacji ustalono wynagrodzenie dla kierowników świetlic w wysokości 7.500 zł. miesięcznie. Było to jednak połowiczne załatwienie sprawy. Uważano, że opłata nie powinna być za duża, bo najpierw — były wątpliwości, czy wyniki pracy kierownika świetlicy usprawiedliwiają większy wydatek, a następnie — trzeba było ze względu na ograniczone możliwości finansowe wybrać złoty środek między dwoma alternatywami: opłacania większej ilości kierowników świetlic, czy wyższego uposażenia dla mniejszej ich liczby. Pod koniec 1949 r. zatrudniono już płatnego kierownika co w dziesięciu świetlicach.

Praktyka opłacania kierowników świetlic wykazała, że jakkolwiek poziom pracy w tych świetlicach podniósł się w porównaniu z resztą to jednak odpływu ludzi ze świetlic nadal nie udało się zahamować. Np. w województwie kieleckim z 30 przeszkolonych i zatrudnionych kierowników świetlic pozostało 12.

Zaczęto dyskutować ponownie, czy w ogóle należy opłacać kierowników świetlic. Wysłunięto znowu wszystkie stare argumenty przemawiające za przywróceniem zasady czysto „społecznego” charakteru pracy kierownika świetlicy, dodając do nich nowe, że i opłacani kierownicy świetlic nie wywiązali się z obowiąz- ków w tym stopniu, w jakim oczekiwano.

Istnieją roczne kursy świetlicowe. Kandydaci na te kursy mają posiadać średnie wykształcenie, lub wykazać się równoważnym poziomem wiedzy i wyrobienia społecznego. Na kursy zgłasza się niewielu kandydatów. Dlaczego? W instrukcji o rekrutacji na ma słowa o tym, jak absolwent będzie miał perspektywę w przyszłości. Kto na wsi mając średnie wykształcenie pójdzie

cy, którzy ze względu na trudności materialne, rodzinne i t. p. przerwali naukę przed maturą. Pójdą na kurs z myślą, że będą się uczyć za darmo, otrzymując bezpłatne utrzymanie, a później przy pierwszej

szansie, że uda nam się go wyszkolić, na V Plenum Partii mówiło się o tym.

Obecnie organizujemy już zespół dobrego czytelnika, składający się z byłych „analfabetów”. Chcemy uruchomić klub dyskusyjny nad przeczytanymi książkami.

Muszę jednak powiedzieć, że na razie jesteśmy samotni. W ciągu dwóch lat był jeden jedyny raz na kontroli inspektor kulturalno-oświatowy. Praca w świetlicy nie powinna być doradnie kontrolowana, lecz w sposób ciągły i stały. Naszym ludziom trzeba dać instruktorów, pomóc przy rozrządzaniu roboty, a dopiero po tym zapisać świetlicę do statystyki. Inspektor zrobił tylko to ostatnie. Figurujemy na papierze, a w praktyce dopiero zaczynamy. Partia zwyciężyła na wsi, pozwoliła uruchomić świetlice, dopomogła nam na pewno do wykształcenia kadry — aktywu świetlicowego.

Kazimierz Brzuszek

KAZIMIERZ BRZUSZEK ŚWIETLICA I PARTIA

Nasza wieś ma piękna, słowiańska nazwę — Nowe Siolo. Leży w powiecie Wałbrzych, nad polsko-czeską granicą. Zamieszkuje ją ludność przybyła tu z rozmaitych części Polski i byłych województw zachodnich. Nowe Siolo liczy 250 mieszkańców. Połowa to chłopcy — rolnicy, drugie tyle to robotnicy pracujący w odległym o 2 km. Mieroszowie.

Świetlica w Nowym Siolu już od 1948 roku, to jest od chwili otwarcia była przedmiotem ostrej walki klasowej. Na uroczystości otwarcia zaprosili PSL-owcy kilku lepszych gości — okolicznych spryrczy i szabrowników oraz księdza. Polska Partia Robotnicza wydegolowała do prac świetlicowych aktywistę — Forysia. Ksiądz pokropił wodą salę, następnie dobrała kompania zasiadła do picia wódki. Wybuchła sprzeczka, Forysiak i kilku innych chłopów postępowych zostało pobitych. Świetlica dostała się w ręce PSL-owców. W rezultacie, po szumnym otwarciu — aż do 1948 roku świetlica pustka. Nasz wróg klasowy był zbyt słaby na to, aby uczynić świetlicę bezpośrednim narzędziem walki z postępowiem. Był jednak dość silny, aby przez dwa lata zahamować wszelką jej pracę.

W świetlicy zbierali się „mikołajczykowcy” i różni inni handlowali trochę wódką. Śmietanka gromadzka a z nimi pan sołtys grzali zimą w karcie, tu powstawały i szły na wieś opowiadania, że „walka klasowa jest niepostrzebną, ponieważ bogatym też jest ciężko. Ani parobka znaleźć, ani się od podatku odpaść”. Tu właśnie wyhodowano bajkę o „jedności stanu rolniczego”.

Od roku 1948 wiele się zmieniło. Szabrowników, handlarzy mieniem społecznym — zlikwidowały władze. Forysiak i inni z podstawowej organizacji demaskowali systematycznie kilku chłopów — spekulatorów. Wybrano nowego zarządcę gromadzkiego koła ZSCH. Forysiak został prezesem. Wraz ze zwycięstwem Partii ożywiła się świetlica. Pokazało się od razu, komu życie kulturalne i polityczne Nowego Siola leży na sercu. Parę zebranych od ludzi książek stanowiło zawiązek biblioteki.

Urządiliśmy zbierkę na radioodbiornik, który stał się ośrodkiem tu chłopów i robotników na wieczory świetlicowe.

W roku 1949 postarała się Samopomoc Chłopska o nowe książki. Biblioteka liczy dziś 200 książek. W roku 1947 prenumerowali u nas ludzkie 20 egzemplarzy pism, przeważnie klerkalnych. Obecnie przychodzą do czytelników z Nowego Siola 30 egz. „Gromady”, 10 egz. „Przyja- ciółki” i 5 egz. „Rolnika Polskiego”. Prócz tego robotnicy prenumerują w zakładach pracy gazetę, przeważnie organy partyjne, lub Związków Zawodowych.

Biblioteka nasza zanotowała w ciągu ostatnich 12 miesięcy 1.250 wypożyczeń. Książki wymieniamy się z Miejską biblioteką w Mieroszowie. Prawda, że książki czytają w większej części robotnicy, jest to element dojrzały. Rok pracy w fabryce, przynależność do Partii, czy Związku robi swoje. Ale np. „Matkę” Gorkiego czytano niemal w każdym chłop- skim domu.

Jaka rolę spełnia nasza świetlica? Na razie jeszcze nie wielką. Lokal służy głównie na zebrania gromadzkie. Brak nam kwalifikowanego świetlicowca. We wsi każdy prawie gdzieś należy, albo do koła ZMP, ZSCH, czy Partii, albo kierownik świetlicy to jest umiejętność specjalna! Kto to taki powinien być? Myślę, że nasz ZMP-owiec z Nowego Siola, odpowiednio wykształcony, Teraz wie-

sposobności przejdą do zawodów, dających im źródło utrzymania. Z tego rodzaju słuchaczami kursów można się zetknąć bardzo często, np. w zeszłym roku po 3 mies. kursie teatralnym Min. Kultury i Sztuki w Jadwisinie.

Jeśli chce się mieć kadrowy aktyw oświatowy na wsi trzeba mu stworzyć perspektywę — trzeba stworzyć zawód oświatowca na prawach podobnych do praw niewykwalifikowanych nauczycieli szkół podstawowych, z obowiązkami kształcenia się w trakcie pracy.

Ministerstwo Oświaty i Związek Samopomocy Chłopskiej wstąpiły już na szluzną drogę szkolenia absolwentów liceów pedagogicznych specjalnie do pracy w świetlicy dla dorosłych. W tym roku zostanie przeszkolonych 600 absolwentów. Rozszerzenie tej akcji na wszystkich wstępujących do zawodu nauczycielskiego to następny ważny krok na drodze przygotowania kadr oświatowych. Trzeba koniecznie zrobić jeszcze jeden krok i włączyć do szkolenia do programu nauczania w liceach, jako specjalny przedmiot. Ale przeszkolenie nie jest wszystkim. Aby praca nauczycieli w świetlicy dała maksymalny wynik trzeba zmoczyć pracę z nimi, nie wolno pozostawiać ich sam na sam ze wszystkimi trudnościami. Trzeba zmoczyć szkolenie specjalizujące nauczycieli w określonych dziedzinach pracy kulturalno-oświatowej na kursach w miesiącach letnich, trzeba żeby podinspektorzy oświaty do- rosłych lepiej niż dotychczas pracowali z nauczycielstwem, żeby udzielali wskazówek, żeby wizytowali (dokończenie na str. 6-ej.)

(dokończenie na str. 6-ej.)

rymy, że uda nam się go wyszkolić, na V Plenum Partii mówiło się o tym.

Obecnie organizujemy już zespół dobrego czytelnika, składający się z byłych „analfabetów”. Chcemy uruchomić klub dyskusyjny nad przeczytanymi książkami.

Muszę jednak powiedzieć, że na razie jesteśmy samotni. W ciągu dwóch lat był jeden jedyny raz na kontroli inspektor kulturalno-oświatowy. Praca w świetlicy nie powinna być doradnie kontrolowana, lecz w sposób ciągły i stały. Naszym ludziom trzeba dać instruktorów, pomóc przy rozrządzaniu roboty, a dopiero po tym zapisać świetlicę do statystyki. Inspektor zrobił tylko to ostatnie. Figurujemy na papierze, a w praktyce dopiero zaczynamy. Partia zwyciężyła na wsi, pozwoliła uruchomić świetlice, dopomogła nam na pewno do wykształcenia kadry — aktywu świetlicowego.

Kazimierz Brzuszek

Zdzisław Kubalski

Z

araz po podwieczorku, składają- cym się z pajdy razowej i zsiadłego mleka, Franek urwał kose.

Licho wie, o co zachaczył — zębem — o kępe perzu, czy o przy- rany korzeń, czy po prostu za ni- skoko puścił — dość, że kosa trzęsa- ła tuż przy piętach.

— Ścierwo! — zaklął, opierając się bezradnie na kosku. Józia po- zostawała daleko w tyle, bo cieli na- lepszy kawałek i odbieranie z wią- zaniem sło ciężko. Pracowała za- ładnie, nie prostując grzbietu i do- piero, gdy niemal głową nie ude- rzyła w płędy siedzącego Franka, spostrzegła, że nie kosi.

— A coś już ustał?

Bez słowa pokazał palcem na leżącą kosę.

— Boże mój jedyny! — krzyk- nęła kobieta — Taka kosa!

Siedem pięćdziesiąt jak jeden grosz... i co teraz...?

— Dziś już nie... — mruknął za- frasowany — poustawiamy.

Trza jutro złapać od kogoś na godzinę...



— A kto ci teraz da, chłopie... Boże mój... a to i jęczmień już bia- ły. Aj, jej...! Siedem pięćdzie- siąt... — wpiła czarne palce w roz- czochrane włosy, patrząc na zer- waną kosę, jak na trupa kogoś naj- droższego.

Było się i o co martwić.

Od dwóch miesięcy, odkąd za- puściła krowa, w chałupie nie mie-

STANISŁAW GĘBALA

NASZA ŚWIETLICA

1. Niedawno temu odwiedziłem w miejscowej bibliotece mocno nad- szarpnięty egzemplarz „Sprawozda- nia Akademickiego Koła TSL w Kra- kowie”, z którego dowiedziałem się, że już w roku 1910 istniała w naszej wsi czytelnia. Odnalazłem także świadków i pierwszych czytelników z owych czasów, kiedy to „katon” wsi śp. ks. Sapecki podjeżdżał dry- szkując przed lokal czytelnia, a chłopci witali go na progu tak długo aż ko- śt tam wezwany zjadł — pochłonięty wszystkie egzemplarze „Prawa Lu- du” i „Latareni”.

Przez długi czas świetlica miała dwa oblicza: jedno oficjalne, urzędowe, drugie zakryte przed władzami i „patronami”, nielegalne. Tak też było przez cały okres II Rzeczypospo- litej. Zaraz po I wojnie światowej świetlica zaczęła przejawiać bardziej oświeconą działalność. Był to okres oświeconej „Republiki Tarnobrzec- kiej”, kiedy czytelnicy schodzili się do lokali wprost z warty, z karabi- nami na plecach. Wtedy właśnie gromada wybudowała dom ludowy, w którym znalazła pomieszczenia świe- tlica.

W ciągu dwudziestolecia między- wojennego świetlica nosiła różne nazwy: raz była czytelnia K. R., in- ny raz rusem świetlicą Ochotniczej Straży Pożarnej, to znów Koła Mo- dniczej Wzajemnej. Pracę świetlicową jednak kierowały zawsze „Wici”. Tu układano projekty walki z policią i ze starostwem, tu padały słowa buntu, tu także Michał Krajewski kopolował lewicowe pisma i wygła- szał pogadanki. W roku 1938 świetli- ca miała dwie biblioteki: jedną oficja- lną na pokaz, drugą konspiracyjną, przechowywaną potajemnie wśród książek zakazanych był również „Ma- nifest Komunistyczny”.

Wielu z dwudziestolecia między- wojennego świetlica nosiła różne nazwy: raz była czytelnia K. R., in- ny raz rusem świetlicą Ochotniczej Straży Pożarnej, to znów Koła Mo- dniczej Wzajemnej. Pracę świetlicową jednak kierowały zawsze „Wici”. Tu układano projekty walki z policią i ze starostwem, tu padały słowa buntu, tu także Michał Krajewski kopolował lewicowe pisma i wygła- szał pogadanki. W roku 1938 świetli- ca miała dwie biblioteki: jedną oficja- lną na pokaz, drugą konspiracyjną, przechowywaną potajemnie wśród książek zakazanych był również „Ma- nifest Komunistyczny”.

Stanisław Gębala.



Świetlica przedszkola Spółdz. Prod. w Rybnie pow. morski.

Kazimierz Brzuszek

Zdzisław Kubalski

Z

araz po podwieczorku, składają- cym się z pajdy razowej i zsiadłego mleka, Franek urwał kose.

Licho wie, o co zachaczył — zębem — o kępe perzu, czy o przy- rany korzeń, czy po prostu za ni- skoko puścił — dość, że kosa trzęsa- ła tuż przy piętach.

— Ścierwo! — zaklął, opierając się bezradnie na kosku. Józia po- zostawała daleko w tyle, bo cieli na- lepszy kawałek i odbieranie z wią- zaniem sło ciężko. Pracowała za- ładnie, nie prostując grzbietu i do- piero, gdy niemal głową nie ude- rzyła w płędy siedzącego Franka, spostrzegła, że nie kosi.

— A coś już ustał?

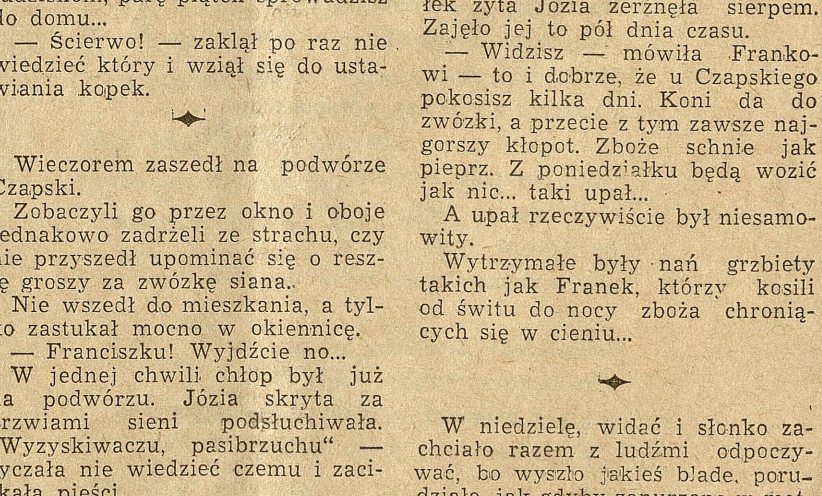
Bez słowa pokazał palcem na leżącą kosę.

— Boże mój jedyny! — krzyk- nęła kobieta — Taka kosa!

Siedem pięćdziesiąt jak jeden grosz... i co teraz...?

— Dziś już nie... — mruknął za- frasowany — poustawiamy.

Trza jutro złapać od kogoś na godzinę...



— A kto ci teraz da, chłopie... Boże mój... a to i jęczmień już bia- ły. Aj, jej...! Siedem pięćdzie- siąt... — wpiła czarne palce w roz- czochrane włosy, patrząc na zer- waną kosę, jak na trupa kogoś naj- droższego.

Było się i o co martwić.

Od dwóch miesięcy, odkąd za- puściła krowa, w chałupie nie mie-

li ani grosza. Już kilkakrotnie po- życzła Józia od Czubowej po zło- towe, najczęściej na zeszyty dla Halinki. Od wakacji chociaż z tym był spokój i to na stałe, bo Halin- ka, która słuchała tego podob- nie, jak słucha się szelestu drzew w czasie jesiennej wichury.

Ciężki przednówek mieli już pra- wie poza sobą. Od św. Jana Józia podgrzebywała już amerykań „do garku”, zboża już doszły — kosi- li, wszystko więc zapowiadało się wesele, gdy w tem masz — takie nieszczeście! A rano jeszcze Fran- nek głazł bliznącą kosę ma- mrocząc: Pokosisz ty wiele żyta ludziskom, parę piątek sprowadzisz do domu...

— Ścierwo! — zaklął po raz nie- wiedzieć który i wziął się do usta- wiania kopek.

Wieczorem zaszedł na podwórze Czapki.

Zobaczyli go przez okno i oboje jednakowoż zadrzeli ze strachu, czy nie przyszedł upominać się o resz- tę groszy za zwózkę siana.

Nie wszedł do mieszkanka, a tyl- ko zastukał mocno w okiennice.

— Franciszku! Wyjdźcie no...

W jednej chwili chłop był już na podwórzu. Józia skryta za drzwiami sieni podstuchiwała.

„Wyzyskiwacz, pasibrzuch” — szczyła nie wiedzieć czemu i zaci- skała pięści.

Lecz Czapki przyszedł z inną sprawą.

— Przyjdźcie jutro do kosy, do- bra — powiedział tonem, wyklu- czającym dyskusję. Będzie ciął zni- warka, ale pod lasem, na glinkach zwalone po deszczu... wóle kosa.

— Dobrze... ja... widzięcie takie nieszczeście... zerwałem dziś kosę — mamrotał Franek.

— Hm... no jak pokosicie u lu- puściła krowa, w chałupie nie mie-

— A pa! rzeczywiście był niesamo- wity.

Wytrzymali byli nań grzbiety takich jak Franek, którzy kosili od świtu do nocy zboża chronią- cych się w cieniu...

W niedzielę, widać i słońko za- chciało razem z ludźmi odpoczy- wać, bo wyszło jakieś blade, poru- działe, jak gdyby zanurzone w męt- nej wodzie. Po sumie widać już by- ło wyraźnie, że ma się na deszcz.

Nikt jednak w pole nie wyjeżdżał. Kazanie proboszcza odniosło skut- ków. O — na taki dzień czekał od- dawna. Odkąd dowiedział się o „wojnie”, którą prowadzi głuchow- ski proboszcz z „Wielczarzami” i „ko- munistycznymi bezbożnikami” złą- ła się o swoją parafę.

Czekał tylko okazji aby spróbo- wać swoich sił i uspokoić się. Oka-

*) Proste obliczenie: 3.000 gmin po 100.000 zł. daje okrągłą sumę trzystu milionów.

SŁAWOMIR ROGOWSKI

Z DZIEJÓW WSI*)

„Samotność“ Mikołaja Wirty to powieść historyczna. Wypadki toczą się przed trzydziestu laty, ich konflikty należą już dzisiaj do przeszłości narodu radzieckiego, wielkiego przodownika walki. Czy wobec tego powieść ta nie wiąże się ze współczesnym życiem socjalistycznej wsi rosyjskiej? Oczywiście, że wiąże się, bo odzwierciedla boje, które toczyły się o socjalizm na wsi. Ale nie tylko dlatego. Powieść Wirty mówi, jak w ogniu rewolucji rozdziła się głęboko humanistyczna, ludzka treść nowego ustroju, ukazuje sens dzisiejszych osiągnięć i dzisiejszej walki. I to nie tyle przez wyobycie wszystkich momentów zapowiadających przyszłość (choćby tego bynajmniej w utworze nie brakuje), ile przede wszystkim przez wierne odwzorowanie istoty tej rzeczywistości, która wówczas w Kraju Rad chyliła się ku bezwzględnej zagładzie. „Samotność“ Wirty pisana w latach 1933–1935 podejmowała aktualną tematykę walki o wies socjalistyczną, wnikiwie obnażała klasowe konflikty w obrębie „jednolitej“ rzekomo warstwy chłopskiej, piętnowała wysysk kulacki i prawdziwy antyludzki, zgnyli sens kulackich buntów w okresie, w którym zwycięski ruch kółchowy uprzednił się, kiedy „kulacy zmienili taktykę. Nie szluzali już z obciętych karabinów, lecz udawali cichutkich, spokojnych, oblawianych, zupełnie prostych ludzi... Przenosili się do innych miejscowości, gdzie nikt ich nie znał i tam walcili się do kółchów, żeby szkodzić i psuć“ (Hist. WKP(b) s. 259 i 358). Kiedy osamotnione, wycobowane ze społeczeństwa niedobitki klasy kulackiej i jej popiecznicy wkraczali na drogę aktów dwuświaty — powieść Wirty była narzędziem budzenia „prawdy, w której wielkiej czujności rewolucyjnej“, będącej równocześnie jakgdyby artystycznym komentarzem do konsultacji Stalinowskiej, głoszącej, że ZSRR jest socjalistycznym państwem robotników i chłopów, a społeczeństwo radzieckie składa się z dwóch bratnich klas: robotniczej i chłopskiej.

Autor bowiem snując przed czytelnikiem nasycone bogactwem obserwacji obrazy rzeczywistości życia wsi w okresie wojny domowej nie pozwala mu nigdy stracić z oczu istotnego sensu rozwijających się wydarzeń, prawdziwych sił wpływających na ich tok i energiczny skrótem co krok wydobyla na jaw przebiegającą się w gąszczu faktów linię konieczności dziejowej. Jedną z takich spraw, o których niemal że nigdzie nie mówi się bezpośrednio, ale która po prostu widać na każdej stronie książki jest sprawa sojuszu robotniczo - chłopskiego. Wypuszczenie tej sprawy na pierwsze miejsce tak, że jej rozwój decyduje o kierunku i przebiegu najważniejszych wypadków i powodzenie lub niepowodzenie działań bohaterów zależy od ich stosunku do tej sprawy, nadaje powieści Wirty przekonującą zwięzłość dramatyczną. Powieść Wirty należy do tych, które się czyta „jednym tchem“. Jest to jeszcze jeden przykład na to, że osiągnięcie artystyczne jest zawsze

wynikiem słuszności ideowej i wiernej, niesfałszowanego oddania rzeczywistego życia. Głęboki realizm Wirty polega w tym wypadku nie tylko na ujęciu fabuły pod kątem widzenia sprawy, która dla wsi wyzwalającej się z kapitalistycznej niewoli jest kwestią na prawdę zasadniczą. Wirta dał znacznie więcej. Pokazał mianowicie jak się to dzieje, że sojusz robotniczo - chłopski jest koniecznością, jest sprawą życia i śmierci wsi.

„Otoż to jest właśnie rewolucja! — głośno mówi Lenin. — Trzech braci i trzy losy!“

Ludzie Wirty to nie indywidualia wyjęte z kontekstu historycznego. Ich życie — to życie uczestników walki klasowej. Jej konflikty autor słusznie ostrzegł na „w“ w brycie jednej chłopskiej rodziny. To wcale nie jest schemat, że Siemion, Piotr i Siergiej Starożew są typami średniaka, kulaka i wiejskiego proletariusa.

Ich zróżnicowanie jest prawidłowym odbiciem rozwoju kapitalizmu na wsi. Starszy brat, Siemion popadł w nędzę. Choćby rece ubrał za łokieć, nie mógł własną pracą przekształcić swego zagonia w przedsiębiorstwo kapitalistyczne. Inaczej powiedział się Piotrowi. Dlaczego? Bo ożenek z Praskową Wasjaniną, która miała liczne rodzeństwo, przyprowadził mu wiele tanich rąk roboczych. „I tak żyli: dzieci Wasjaninów napędzali żółdki barszczem Starożewa, spłachali zaś jego poczynania ich pracą“. Młodszego syna, Siergieja, wzięto do wojska. Siergiej stał się potem bojownikiem rewolucji. Tak rozeszły się drogi trzech braci. W pewności Piotr i Iwanowicz Starożew chłopski kapitalista stał się jednym z głównych bohaterów. Tytuł wyniema kres, ku któremu zmierza jego życie. Siergiej jest także ważną postacią. Wypadł jednak trochę mniej wyraziście. Autor poświęcił mu nieco mniej uwagi ze względu na zasadniczy problem utworu, który wymagał rozbudowania akcji raczej wokół negatywnego bohatera. Siemion — ginie nam zupełnie z oczu, rozpada się najwidoczniej w masie biedoty i średniaków, z których przebież każdy i dziać Wasyl i Aleksander Afanasiewicz jest takim Siemionem Starożewem. Równoległe do historii Starożewów rozwija się dzieje innej chłopskiej rodziny, mieszkającej w „Głupim Zauku“ ulicy dwoskokich niedźwiedzi. Z chatki staruszek Aksini wychodzą w świat dwaj bracia starszy Lisistrat i młodszy Łońka. Lisistrat został żołnierzem, czerwono-gwardystą. Losy tego zdecydowanego, świadomego proletariusa są podobne do dziejów życia Siergieja Starożewa. Inaczej stało się z „Łońką“.

Jeszcze w dzieciństwie oddała go matka do Piotra Starożewa ni to na syna ni to na parobka. Razem z Piotrem Łońka wyruszył w pole i walczył po stronie kulaków. Niewyrażna rola Łońki wyszkiwanego przez kulaka w ramach jak gdyby rodzinnych stosunków tłumaczy to nie-mądre przywiązanie do Starożewa u lekkomyślnego niedoświadczonego chłopca. Kiedy Łońka zrozumiał prawdę, było już za późno. Już jego

osobiste losy porwały tryby historii, bo między jednym a drugim nie ma i nie może być izolującej granicy. Tragedia Łońki i jego ukochanej Natasy jest tragedia człowieka, który nie dostrzegł istoty toczących się wokół niego wypadków, nie dostrzegając swej rzeczywistej pozycji w społeczeństwie, młotany jest niby przez pełne grozy przypadki i zjawę jednostek, a naprawdę popada w konflikt z rozwojem społecznym i jego wewnętrzne sprzeczności go drugiego.

O jednej jeszcze rzeczy należy wspomnieć, skoro się mówi o Łońce. Trzeba mianowicie tutaj podkreślić szczegół dla metody artystycznej Wirty bardzo charakterystyczny. Zabarwienie ideowo-emocjonalne utworu wydobyla autor nie drogą jakichś pseudostetycznych konstrukcji nie na przekór faktom lecz właśnie poprzez fakty. Postać Łońki jest węzłem wyzysku złączona z postacią kulaka Starożewa.

I to jest typowe powiązanie, rzeczywiste, historycznie uмотовowane. Ale to powiązanie ma swą gorącą wymowę. Życie Łońki jest oskarżeniem życia Starożewa.

Po ziemi tambowej włożyli się kulackie bandy antonowców, rozbestwione wobec bezbronnych, tebrzili we wobec silnych. Kulacy agitatorzy usilowali szerzyć wśród zdezorientowanych chłopów antonowską „prawdę“. Sztab antonowski mobilizował wszystkie siły kontrewolucyjne w obronie kulackich interesów. Kim był Antonow? Kulak? Bynajmniej. Jest nawet pewna różnica między nim a Starożewem.

Kulak Starożew bierze udział w buncie jedynie w celu przywrócenia swej władzy nad słabymi i biednymi, w celu zdobycia nieograniczonych możliwości powiększenia swego majątku. Antonow nie miał nigdy zemi. Przed rewolucją był wiejskim nauczycielem. Był eserem i za działalność terrorystyczną został skazany przez sąd na zesłanie. Jeżeli stał się wodzem kulackiego buntu to dlatego, że chciał mu się szerokiego buntownego życia, triumfalnego wjazdu do Moskwy, tytułów i zaszczytów. Programów politycznych nie czytał. Za mało wiedział, żeby pojąć istotę wielkich przemian wśród których żył. Mimo różnicy pochodzenia i doświadczeń, ten pozbawiony wszelkich zasad moralnych drobniemiśkański inteligent dochodził w rozmysłaniach do takich samych wniosków jak te, do których kulaka pchnęła jego praktyka życiowa. I oto w jednym szeregu stanął ograniczony awanturnik i „mądry“ bogacz wiejski.

Na tym kończę garść refleksji, do których pobuda lektura tej pasjonującej powieści. Uważny czytelnik znajdzie w niej bogaty materiał potwierdzający jego własne obserwacje, naszej współczesnej polskiej rzeczywistości. Bo również między nami kryją się takie wycobowane ze społeczeństwa jednostki, których kłecze życia, w najbardziej typowych zarysach są właśnie dziejami Starożewów i Antonowów, dziejami zrywania wszelkich więzów z rozwijającym się światem wolnych ludzi, dziejami rosnącej nienawiści. Powieść Wirty powinien poznać każdy. Wahający się jeszcze chłoch ujrzał w niej istotę własnej wsi i zrozumie mechanikę jej rozwoju. Działacz wiejski zdobędzie nowy zapas doświadczeń. Uczestnicy ruchu spółdzielczego produkcyjnej znajdą w niej doskonale repetytorium walki. Mieszkaniec miast zobaczy prawdziwą wieś bez młodopolskich zniekształceń. Dla wszystkich „Samotność“ będzie źródłem mocnego niezapomnianego przeżycia estetycznego. Czyż może być większy triumf artysty?

Sławomir Rogowski

*) Notka bibliograf.

Drugą skolei pozycją w dorobku powojennym p'sarskim Stanisława Kowalewskiego jest powieść pt. „Prosta droga“. Autor zajmuje się w niej problemem ważnym i aktualnym w chwili obecnej. Porusza zagadnienie stosunku pisarza do odczuwającej rzeczywistości. Książka jest więc odpowiednikiem postulatów wysuwanych na konferencji pisarzy poprzedzającej akcję wyjazdu w teren, i jest sprawozdaniem z pierwszych pisarskich trudności.

Na treść jej składają się przeżycia młodego pisarza, który chce poznać życie górników, ich pracę i pisać o nich. W tym celu wykorzystuje swój młociński urlop i wyjeżdża do miejscowości górniczej Zdroje położonej gdzieś na Zachodzie. W miarę przeżywania się jego pobytu widzi on, że powierzchniowa obserwacja nie wystarcza. Prosi o pracę i pozostaje w Zdrojach na stałe, dając tym samym wyraz prawdzie, że poznać rzeczywistość można tylko w procesie jej przekształcania. Pisarz widzi, że jest w Zdrojach potrzebny, że może się przydać tym ludziom o których i dla których chce tworzyć. Oto w zarysie treść książki, która autor wzbogaca opisem, przyjażdżając górników polskich z Francji, pracy górników w kopalni czy też satyrycznym przedstawieniem grupy archaicznych snobów, znajdujących się w Zdrojach celem leczenia urzeczonych chorob.

Tutaj od razu napotyka się na trudności. W zamierzeniu autora w tym obrazie dwóch środowisk miał być prawdopodobnie zawarty kontrast

*) Stanisław Kowalewski „Prosta droga“, „Książka i Wiedza“ 1950.

JACEK TRZNADŁ

PASCHALE*)

Paschale jest to pałeczka kościanna, na której Koriacy zamieszkujący Kamczackę odtwarzają w prymitywny sposób historię plemienia, rodu i swoje osobiste przeżycia. Powieść Andrieja Kalinczenki jest historią ośmiu naciąg, karbów na paschale — jest opowiadaniem wiozonym przez autora w usta właściciela paschale — Koriaka Iczalowa.

Z powieściami opowiadającymi o krajach egzotycznych, kolonialnych, o życiu ludzi mieszkających w miejscu, gdzie na mapie są białe plamy — z powieściami takimi stylizowanymi nie raz w literaturze kapitalistycznego okresu. Cncialnym rzucić krótko tylko parę uwag o ostatnim okresie w literaturze kapitalizmu — o literaturze imperializmu, na którą musimy zwracać baczniejszą uwagę jako na bezpośredniego przeciwnika realizmu socjalistycznego.

Jak wiadomo, powieść okresu imperializmu cechuje wyjątkowa tendencja mistyfikatorska w stosunku do rzeczywistości — dosięga szczytów burzazynowego fałszu. Powieść egzotyczna „ucieczka do dzikiej natury, do ludów pierwotnych niedotkniętych pozornie gnijącym oddechem imperializmu — to jeden z przejawów tej antyrealistycznej tendencji. Będzie to tak powieść pierwszorzędna np. Kipling, jak i drugorzędna „podróżnicza“ itd. Wszystkie jej cechy to, że zasadnicze linie klasowe ulegają tu zagubieniu; nowa i trudna zresztą tematyka sprzyja temu za-laszowaniu — tak iż często uchodzi ono ułudzie na pierwszy rzut oka. Zafałszowanie rzeczywistości może tu mieć przytem dwa aspekty: 1) wybór tematyki odbiegającej od kluczowych zagadnień społeczeństwa burzazynowego w okresie imperializmu, 2) fałszywe przedstawienie „kraju egzotycznego“ w obrazie literackim, stwarzanie „oaz“ gdzie nie sięgają determinanty klasowe. Po tych ogólnych uwagach przejdźmy do potraktowania tematu w powieści Kalinczenki.

Należy stwierdzić od razu: temat potraktował Kalinczenko wyjątkowo słusznie, nie tylko przez powiązanie dziejów ludu Kamczatki z przebiegiem linii klasowych, lecz również przez ujęcie zagadnienia w węzłowym punkcie historii — w okresie pierwszej rewolucji proletariackiej i okresie walk o wyzwolenie ludów zależnych i półkolonialnych.

Co mówi nam powieść Kalinczenki o życiu ludu Kamczatki? W okresie poprzedzającym rewolucję proletariacką w Rosji ustrój rodowo-plemienny wędrownych koczujących Kamczadów zaczyna się przeradzać w instytucję klasową, a to przede wszystkim pod wpływem docierającego tu zaborczego dążenia imperializmu, który niszczy swobodny, naturalny rozwój społeczeństwa pierwotnego. I tak mały ród Tachty musi płacić na rzecz aparatu carskiego przynusowam daninę tzw. saku. Poza tem działają tu kolonie handlowe rosyjskie, amerykańskie i może najbardziej wykorzystujące lud kamczatki — japońskie. A wewnątrz plemienia tworzą się dwa ośrodki wyraźnie różniące się klasowo. Z jednej strony książę Emaue chodzący w mundurze carskiego oficera podporządkowany mu przez władze. Emaue ściąga niesprawiedliwie, sprzeciwiając się dawnemu prawu plemięnnemu podatki. Utrzymaniu jego władzy służy przesylny lek ludu przed duchem tundry, podsypany umiennie przez kapłanów — szamanów. Książę zaś jest w przyjaźni z szamanem Najnymem, a więc potrafi sobie za-skarbić niezliczone łaski złego ducha tundry.

Z drugiej strony widzimy biedotę, posiadaczy małych stad reniferów, czy też pasterzy bez żadnej własności pasących za darmo przez dziesiątki lat stada księcia.

Ale książę Emaue to tylko figurka pociągana przez złotego japońskiego handlarza „sando Sagu“. Skóry upolowanych zwierząt, które przechodzą przez ręce księcia, ryby z połowów — to wszystko dostaje się na statek odchodzący do Japonii — wędruje na światowy rynek imperialistyczny.

Na oddalonym półwyspie kamczackim dociera jednak nie tylko imperializm. Niezależnie od sprzeciwu jaki budzi się przeciwko wyzyskowi wśród ludności rdzennej — docierają tam ludzie, którzy noszą w sobie płomień buntu przeciw imperializmowi. Są to ludzie walczący z kapitalizmem proletariatu. Zesłaniec carski, zbłądził z więzienia „Łoce“. Krepow budzi świadomość klasową wśród pasterzy i biedaków kamczackich. Opowiada o walce jaką toczą wyzyskiwani robotnicy Rosji, mówi o wielkim wodzu Leninie. W „Zagadnieniach leninizmu“ Stalin pisał: „Dawniej... przypuszczano, że... rozwiązanie kwestii narodowo kolonialnej może być dokonane ciachem, „samo przez się“, zdala od wielkiego szlaku rewolucji proletariackiej, bez walki rewolucyjnej z imperializmem“. Te poglądy okazały się nie-słuszne. Dopiero rewolucja proletariacka wyzwala ludy zależne spod wyzysku imperialistycznego.

A tymczasem wysysk ten był szkołą świadomości klasowej. Stary pasterz Aniu upomina skarżącego się złemu duchowi młodego Ajamu z małego rodu Tachty, któryemu książę odebrał ostatnie renifery: „Nie ma w tundrze złego ducha, jest tylko zły książę“.

W Rosji wybucha rewolucja. Niestety, w pierwszym rzucie nie zostaje objęta Kamczacka. Kamczatka dostaje się pod rządy interwentów Koczaka, następnie zaś pod władzę złotych imperialistów z wysp japońskich, którzy już wprost wyzyskują ludność i wywożą bogate łupy. Jest wśród nich i handlarz „sando Sagu“ tym razem w mundurze oficera cesarskiego. Bo wojen imperialistycznych nie prowadzi się ze względów „czysto politycznych“. O praw Rosji rewolucyjnej upomina się dopiero oddział Cze-Ka (Nadzwyczajna Komisa do walki z Kontrewolucją). Dalszy ciąg książki stanowią częściowo dzieje oddziału „ludzi z czerwona gwiazdą“, którego przewodnikiem jest opowiadający Iczalow.

Po tundrze zaczynają krążyć pogłoski, że ludzie z czerwona gwiazdą znoszą niesprawiedliwe prawo saka, że bronią ludności przed pogromcami japońskimi. Te wieści są iskrami zdolnymi zapalić nagromdzone przez ucisk, sprzeciw i nienawiść. Pasterze zaczynają gromadnie uciekać do oddziału partyzanckiego, na którego czele stoi Krepow.

Tymczasem nacięcia na paschale mówią o trudnej walce czerwonego oddziału Cze-Ka. Piętrzą się nieoczekiwane przeszkody. Ale tutaj wchodzi w grę czynnik, który słusznie przewidywał komisarz oddziału — Koptiew. Partyzantka miejscowa jest poparciem oddziału rewolucyjnego, co słusznie wydobyla Kalinczenko w myśl sformułowań stalinowskich: „Leninizm uznaje zdolności ewolucyjne w łonie ruchu narodowo-wyzwoleńczego. Rewolucja w Rosji całkowicie potwierdza te wnioski... nie zwyciężyłaby i Koczak z Denikinem, nie zostaliby pobici, gdyby proletariar rosyjski nie posiadał sympatii i poparcia narodów uci-

skanych byłego imperium rosyjskiego“. Obraz społeczeństwa w literaturze realizmu socjalistycznego zgadza się z marksistowsko - lenińską nauką o społeczeństwie. Też te formułował Lenin mówiąc, że treść nauki i sztuki jest jedna — sztuka różni się od nauki tylko swoistością obrazu artystycznego. Na tym jednym przykładzie rozważonym szczegółowo stwierdzamy słuszność ujęć historycznych powieści Kalinczenki.

Ale chodzi jeszcze o coś więcej.

Poruszane zagadnienia nie są prostym streszczeniem książki. Mają służyć jednocześnie do wykazania realizmu socjalistycznego w powieści poprzez konstrukcję losu bohaterów, a nie tylko przez czysto deklaratywne ich słowa czy też przez komentarz autorski. Chodzi o nowy typ bohatera. Chodzi o to, że rzeczywistość nie jest już martwym układem, nie jest zbiorem wiecznych prawd. Jest przekształcaniem się i zwyciężaniem tego co nowe. I dlatego walczą radziecy ludzie i kamczatcy partyzanci. A bohater? Nie jest to już bohater burzazynowy, który miał przed sobą tylko dwie drogi: zginąć lub sprzeniewierzyć się idei postępu. Kalinczenko inaczej konstruuje los bohatera. Paschale jest powieścią o prawdziwych bohaterach, czy to będzie młody Ajam dążący wśród trudności przez tundrę z listem do komendanta Cze-Ka, czy czerwony oddział przeprowadzający się wąskim lodowym przesmykiem nad wzburzonym morzem, czy Korieczka Okłana broniąca się przed Japończykami z samotnej jurtki. Tego bohatera nie przekreśla nawet śmierć. Śmierć Krepowa to nie próżna ofiara w walce o zatknięcie czerwonego standardu na półwyspie. A pozostał przy życiu budując kółchozy.

A zdradcy? Wyzyskiwacz książę Emaue zostaje stracony wyrokiem ludu na „wilczej ścieżce“, gdzie wcześniej jeszcze zginął zdradca Dacza zamordowany zresztą przez swych własnych mocodawców. Imperialista japoński „sando Sagu“ wpada w ręce Cze-Ka. A wywołany rewolucją przynosi nową socjalistyczną moralność. Streszcza to młody Ajam, gdy dowiedział się, że nie odpowiada za winy ojca, zdradcy Daucy: „Nowe prawo jest bardzo dobre“.

Kalinczenko — stworzył ludzi prawdziwych, czujących i myśiących, żyjących w rzeczywistości historycznej. Powieść wychodzi poza konwencję opowiadania Iczalowa, część tekstu tworzy realistyczny opis autorski. Książka ma swój specyficzny urok, który podnosi prostotę opowiadania, oszczędny lecz obrazowy język. Przytem, co wypadło podkreślić, autor nie zatracił nic z egzotyki tundry. Dalej wspaniałe opisy przyrody, na tle której widzimy jednakże prawdziwych ludzi.

Historia ośmiu naciąg na paschale jest pouczająca. Warto przeczytać tę książkę napelnioną treścią, która się zresztą nawet opowiadającemu Iczalowi nie mieści w systemie naciąg. Spod ręki rodzimego artysty rezbierała wychodzi po raz pierwszy zapewne w kości rena wyrzeźbiony symbol nowego czasu — portret wodza — Lenina.

Jacek Trznadel

*) Kalinczenko Andrej — Paschale. Opowiadania kamczackie. PIW, 1950 ; s. 238, 2 nb. Przekł. autoryz. Marii Aszer.

W WALCE O ŚWIETLICE

(dokończenie ze str. 4-ej.)

wietlice, nie jak to przeważnie bywa, zapraszani na uroczyste występy, ale w trakcie codziennej pracy wietlice, żeby organizowano wymienną doświadczeń w ramach powiatu lub ognisk ZNP. Szczególnie ściśła współpraca musi istnieć między podinspektorem oświaty dorosłych a instruktorem kulturalno - oświatowym ZSCH i Powiatowym Zarządem ZMP.

Z powyższych rozważań wynika, że opieka nad świetlicami i kadrami świetlicowymi ze strony ZSCH i władz szkolnych musi być prowadzona szczególnie troskliwie. Trzeba znać ludzi kierujących życiem świetlicowym, trzeba ich poznawać w codziennej pracy, dostrzegać, że aktywnie rośnie i wyrabia się. Trzeba pracować z aktywnym świetlicowym. Prócz szkolenia musi być prowadzona wymienna doświadczeń i praca z szerokim aktywnym świetlicowym na odprawach szkoleniowych - instrukcyjnych raz lub dwa razy do roku w województwie, a w powiatach w okresie jesienno-zimowym raz na dwa miesiące. Odprawy winny być przygotowywane wspólnie przez ZSCH, ZMP i władze szkolne. Wizytacje świetlic o charakterze instrukcyjnym muszą przybrać ciągły charakter. Prócz powiatowych czynników do nadzoru nad świetlicami trzeba wciągnąć Komisję Oświatową przy Gminnych Radach Narodowych.

Słowem chodzi tu o pracę z kadrami, codzienną pracę wychowawczą.

Taką samą opieką, jak nad świetlicami trzeba roztoczyć nad kołami prelegentów w powiatach. Koło prelegentów potrzebuje materiałów do prelekcji, wskazówek metodycznych, pomocy naukowych w postaci plansz, wykresów, modeli i t. p.

Osiągnięcie wyższego poziomu pracy w świetlicach i ze świetlicami wymaga sprawniejszego aparatu organizacyjnego na szczeblu powiatowym i zwiększenia jego stanu liczebnego. W swoim czasie, kiedy Urzędy Inf. i Propagandy zajmowały się świetlicami w dobrze pracujących urzędach powiatowych 5 — 6 osób personelu ledwo mogło podać nawołowi pracy. Dziś już nie-mniej, a bodaj że większej pra-

cy dokonać musi jeden instruktor kulturalno - oświatowy Z.S.Ch. Podinspektor oświaty dorosłych zajęty jest wyłącznie walką z analfabetyzmem. Akcja prelekcji i opieki nad nauczycielami pracującymi w świetlicach — to aż nadto pracy dla jednego człowieka.

Jeżeli zwiększenie kulturalno-oświatowego aparatu nie da się zrealizować od razu we wszystkich powiatach, to przynajmniej w powiatach, w których znajduje się 40 — 50 świetlic, liczących ponad 150 gromad (np. pow. Białystok, Chełm i inne), a zwłaszcza tam, gdzie istnieje więcej spółdzielni produkcyjnych musi zostać dokonane, inaczej trudno będzie sobie wyobrazić poprawę niezadawalającego stanu rzeczy.

Oczywista, że stosunek do instruktorów kulturalno - oświatowych w zarządcach Związku Samopomocy Chłopskiej i innych instytucjach o którym w swoim czasie bez skutku sygnalizowała w „Kuznicy“ M. Czernerle, powinien zmienić się zasadniczo. Trzeba podnieść ważność funkcji pracownika kulturalno-oświatowego. Bo przecież dobry instruktor kulturalno - oświatowy powinien być dowódcą całej armii świetlicowców w swoim powiecie, kierować pracą kilku tysięcy ludzi, wielkim zakładem wychowawczym - oświatowym powiatu. Instruktor kulturalno - oświatowy nie może być przez miesiąc instruktorem rolnym, po tym drugi miesiąc pracować w PZGS-ie, przyjąć z powrotem na stare stanowisko po to, żeby po pół roku znowu zostać przerzuconym na inne stanowisko. Instruktor ten nie może spełniać jednocześnie swoich funkcji, gdy dodatkowo musi troszczyć się o szczenięta świń, kur, o hodowlę królików, przegląd koni i t. d., a to do dzisiaj stanowi często jeszcze jedno jego zajęcie. Praca takiego instruktora wymaga tej samej stałości zajęcia, co praca nauczyciela, lub pracownika administracji szkolnej. Instruktorowi kulturalno - oświatowemu, trzeba dać takie warunki pracy i płacy, aby mógł się dokształcać. Trzeba przy tym wprowadzić obowiązek dokształcania się instruktora i sprawdzać, jak z niego się wywiązuje. Jan Łazarz

KRYSZYNA LEŚNIEWSKA

PROSTA DROGA*)

dwóch światów: burzazynowych „zabytków“ pensjonatu „Tuberoza“ i górników, kopalni i biur Zjednoczenia. Węglowego. Artystyczny bezruch doślusznego w zasadzie przeciwstawienia jest jednak u Kowalewskiego niepokojący. Prawda tkwi głębiej. Te dwa światy są nie tylko różne czy przeciwstawne, one walczą ze sobą. Było rzeczą łatwiejszą wyizolować pensjonat „Tuberoza“, aby ośmieszać jego pensjonariuszy, trudniej byłoby pokazać problem walki klasowej, walki ze szkodnictwem i nierównostw burzazynowego świata, Inżyniera wodzącego Irenę i popijającego wódkę, trzeba było przedstawić jako szkodnika gospodarczego walczącego z planem. Postać przestałaby być tylko elementem artystycznym, stałaby się żywym wrogiem klasowym.

Uwagi dotyczące inżyniera, można zastosować do wszystkich osób, zamieszujących wytworny pensjonat „Tuberoza“. W galerii tych niekiedy typów inne miejsce znalazłaby Irena, która autor króci na miarę jakiegoś symbolu „minionej kultury“, podczas gdy w rzeczywistości jest to głupia gęś mieszczańska, tracąca pieniądze meza zarobione na niezbyt czystych interesach.

Zagadnienie komplikuje się jeszcze bardziej, kiedy przejdziemy do problemu bohatera, który łączy swoją osobę i refleksjami te dwa światy. W jednej z pierwszych, seen książki

autor mówi przez jego usta „tworzę ludzkie losy. Ale nie... to ludzie tworzą losy moich bohaterów“. Ludzie tworzą i warunkują mój własny los. Jestem im potrzebny. Jestem jedną z funkcji społecznych. — Spotykam ludzi widzę ich krzywdy, nieszczęścia i prześladowania jakie się na nich syją. Wtedy piszę o nich. Jestem ich głosem, wolam za nich, wyzywam sprawiedliwości, walczę. Oni mówią przeze mnie.

A ludzie szczęśliwi? Czy nie zasługują by opisać ich szczęście. Szczęście nie jest sprawą osobistą. Jeśli spotykam takich ludzi muszę pisać o nich. Za moim pośrednictwem mają podzielić się swym szczęściem z innymi“.

Oczekujemy z napięciem w dalszych scenach rozwinięcia, pogłębienia, pokrycia życiowego dla jego słów. Spotyka nas jednak rozczarowanie.

Kowalewski chciał dać czytelnikowi obraz przełomu duchowego pisarza, który porzuca dawną tematykę i chce tworzyć w duchu realizmu socjalistycznego. O ile jednak problem jest słuszny i słusznie postawiony o tyle rozwiązanie i opracowanie posiada wiele zasadniczych braków. Przede wszystkim sama postać bohatera, nie tylko jest nieprzekonywująca przez swe tajemnicze incognito, ale także przez papierowość swych doznań i poczyną,

Bohater jest dla nas właściwie postacią nieznaną, nie znamy jego nazwiska, nie wiemy co robił i myślał przed tym przełomowym miesiącem wakacji, nie wiemy jak jego praca będzie wyglądała w przyszłości. Nie tylko nie wiemy, ale nie możemy nawet wysnuć jakichkolwiek przypuszczeń. Obserwujemy tylko jego ustawiczne poszukiwanie ludzi budujących nową rzeczywistość, którzy w jakichś tajemniczych sposób „odgradzają się“ od niego. Czytelnikowi po przeczytaniu tej książki natrętnie nasuwa się pytanie czy przypadkiem ten młody autor nie został w miasteczku na złość Irenie, lub czy nie zrobił tego dla młodej Polski, która przyjechała z Francji (to ostatnie nie byłoby jeszcze znów takie karygodne). Rozbieżność między inteligentnymi tyrami w rozmowach z Ireną, między absolutyzującym kontemplatywnym stanowiskiem pisarza, a rzeczywistie realistycznie przedstawioną pracą kopalni i kółkowni, powoduje że zarzuty Ireny w jej ostatniej decydującej rozmowie zawierają rzeczywistość wiele słuszności. Istotnie bowiem pisarz mówi tylko pięknie o „powołaniu“, a jego ostatnia decyzja pozostania na stałe w Zdrojach, umieszczona jako końcowy akord książki, nabiera wbrew tendencjom autora posmaku heroicznego inteligentnego „zrywu duchowego“.

„Prosta droga“ jest pod względem konstrukcyjnym książką nadzwyczaj nieskomplikowaną. Cała uwaga autora i czytelnika skupiona jest wyłącznie na problemie „przełomu“ głównego bohatera. Akcji pobocznych ciągłych prawie nie mamy.

(dokończenie na str. 7-ej.)

MARIAN N. LISTOWSKI

WIERSE REWOLUCJONISTY

Jeżeli kiedykolwiek można by trafnie odpowiedzieć na pytanie wielu początkujących „poetów” — czy do pisania wierszy potrzebne jest natchnienie? — to po przeczytaniu „WIERSZY ZEBRANYCH” Broniewskiego. Nie, „natchnienie” — słowo błędnie używane i tylekroć nadużywane przez wielu nauczycieli języka polskiego, a potem i przez młodzież — „natchnienie” jest niepotrzebne.

Czytając wiersze Broniewskiego czuje się i rozumie, że poeta pisał to co przeżył. I dlatego: wiersze jego są silne i bliskie, wiersze jego są piękne i proste, są wielkie i ludzkie. Więcej — wiersze jego są własnością ludzi pracy, polskiego robotnika, polskiego chłopca, i polskiego pracującego inteligenta. „Socjalistyczne w treści, a narodowe w formie”.

Dlatego też, gdy otrzymałem ze „Wsi” tom „Wierszy Zebranych” Broniewskiego z prośbą o sformułowanie swego sądu uważałem, że moje osobiste wrażenia są niewystarczające. Zabrałem z sobą przemyślenia upominek jadąc w teren.

Niektóre wiersze Broniewskiego znam od pierwszego numeru „Odrodzenia” (jeszcze lubelskiego). Już wtedy sam próbowałem pisać wiersze i interesowałem się poezją. Bez trudu zrozumiałem czego można się od Broniewskiego nauczyć: siły wyrazu, promieniującej z najgłębszego ukończenia sprawy, życiowej, przeżytej i przewalanej prawdy:

„...Są w ojczyźnie rachunki
[krzywd,
Obca dłoń ich też nie przekreśli,
ale krwi nie odmówi nikt:
wyszczymy ją z pierśi i z pieśni.
Coż, że nieraz smakował gorzko
na tej ziemi więzienny chleb?
Za tę dłoń podniecioną nad
[Polską —
kula w tęg”

Ta siła wyrazu bez względu na to czy Broniewski pisał „Elegię o śmierci Ludwika Weryńskiego”, „Komunę Paryską”, „Bagnet na broń”, „Ballady i Romanse” czy „Do domu”, ta właśnie siła wyrazu wypływająca z głębokiego przeżycia sprawia, że Broniewski doczekał się pochleby, ale wielkiego zaszczytu — jego wiersze znają na pamięć robotnicy i chłopcy, dorośli i młodzież.

Jeździłem z „Wierszami Zebranymi” Broniewskiego po ziemi kieleckiej. Szukałem ludzi znających jego wiersze. Nie szukałem, przepraszam, szukać nie było trzeba. Robotnicy z hut „Ostrowiec” chybali najpiękniej deklamowali: „Podaj mi dłoń, Białorusi, podaj mi dłoń, Ukraino, wy mi dacie na drogę wasz sierp i młot niepodległy. Luno wolności ludów, moc w zaciśniętej pięści!” a członek spółdzielni produkcyjnej w Pruszyńcu (pow. Opatów) prostym, szczerym głosem przypominał:

„...całe życie trzeba przeorać,
a nasze ręce są silne.
Zaprzężemy w Plastowy pług
konie pedzone naftą.
Ziemia dla chłopca! Nie będzie
siug!
Równość! Oświata! Traktor!
Ci ludzie wiedzieli, kto jest autorem tych wierszy. Ci ludzie poznajacy Broniewskiego ze sceny świetlicy na akademii, kupowali jego: „Wiersze Warszawskie”, jego

Głosy o nagrodzonych

„Bagnet na broń” w stoiskach — pierwszy dzień maja. I czytali te wiersze, poznali je... często na pamięć.

„Towarzyszu, kim jest Broniewski — to musi być chyba stary nasz towarzysz partyjny” — mówił do mnie robotnik z hut „Ostrowiec”.

Doprawdy, okazało się, że o osobie Broniewskiego wiem za mało, że w tomie „Wiersze Zebrane” powinien być jego życiorys, że domagał się wprost tego absolwenci liceów pedagogicznych z 6-ciu województw, będący na kursie świetlicowym w Pawłowicach (pow. Jędrzejowski). „Wierszy Broniewskiego nie czyta się jeszcze tak, jak czyta się „zabytki literackie” — mówiła kol. Kurówna ze Śląska. Wiersze Broniewskiego wygłasza się na czolowych akademiach. Wierszy Broniewskiego uczą się dzieci w szkole. I tym dzieciom trzeba chyba powiedzieć kto to Broniewski. Trzeba — jeżeli poezja Broniewskiego jest ich poezją.”

Ma rację — kol. Kurówna, córka górnik z kopalni „Stalin”. I ma rację dlatego, że Broniewski to dojrzały poeta, który posiada za sobą ideologicznie jedyną, niepodważalną twórczość dwudziestokilkuletnią. Szusnie chcą wiedzieć o Broniewskim ludzie czerwonego Ostrowca, którzy mówili: „wiedzą towarzyszu, że „Pieśń o wojnie domowej” to przewrót majowy. To jakby i o Ostrowcu pisało. To towarzysze Władysław Broniewski przeżył razem z nami!”

Robotnicy z Ostrowca, członkowie spółdzielni produkcyjnej w Pruszyńcu, robotnicy z Wytwórnicy w Dwikozach pod Sandomierzem, młody chłopak wiejski, uczeń 6-tego oddziału z Przylęczka ze wzruszeniem powtarzając strofę „Elegii”, uczniowie szkół powszechnych powiatu kieleckiego deklamujący wiersze Broniewskiego o gen. Świerczewskim, młodzi nauczyciele z Pawłowic rozumieją, że Broniewski pisał to co przeżył, że Broniewski pisał dla nich i uznają go za swojego poe.

Najprościej i najwłaściwiej chyba określić „Wiersze Zebrane” był robotnik częstochowski, obecnie aktywny działacz partyjny mówiąc: „to są wiersze rewolucjonisty”.

Wiersze Broniewskiego są niewątpliwie wierszami rewolucjonisty. Każda dostrzegająca — stare, ale każda jednocześnie budująca nowe — dobre.

„...nad onym polem błysnął iskra,
do fabryk idź, do hut,
gromami krzyknij: — Wstańcie wolni!
młotami zadzwon! — Rwijcie kraty!
sercami uderz: — Dzień zapłaty!

Jak ciężko mi dziś mówić z wami,
jak boli zżarta pieśń słowami,
lecz kiedyś z łez, nim
w oczach oschną,
wytopię inną pieśń — radośną,
i to, co czuł i kochał z miłą,
na serca wasze spadnie miekko,
jak kwiaty pierwszych dni majowych.”

I tutaj należało by oczekiwać od Broniewskiego, od „Wierszy Zebranych” innej nuty, niż ta, która

przewija się w ostatniej części tomu. Chcielibyśmy tam nie tylko jedenastu nowych wierszy, ale znacznie, znacznie więcej. Po tych wielkich wierszach Broniewskiego, które stały się własnością ludzi pracy, proletariatu i mas mało-rolnych chłopów, po tych wierszach, w których Broniewski nie tylko potępia ale i walczy z kapitalizmem, z faszyzmem, po tych wierszach należało by oczekiwać postawy Rewolucjonisty budującego nowe, dobre — Socjalizm. Tego „Wiersze Zebrane”, a więc i ich autor — nie dają w takim silnym stopniu jak należało by oczekiwać.

Mamy do Broniewskiego „osobistą” urazę — ten właśnie był robotnik z Częstochowy i ja. Przeżywamy właśnie olbrzymią rewolucję, dalszy ciąg Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej, budujemy podstawy socjalizmu w Polsce. Nową Hutę, fabryki samochodów, spółdzielnie produkcyjne. Broniewski to dostrzega, Broniewski to niewątpliwie widzi i przeżywa, ale autor „Do domu” pisze w ostatniej zwrotce tomu:

„Na rosyjskiej i na polskiej ziemi,
na ziemi krwi i miłości,
rosną kwiaty
— my je znajdujemy —
pośród poległych kości”.

Chciałoby się rzec: — Towarzyszu Broniewski, na ziemi rosyjskiej i na ziemi polskiej rosną nowe fabryki i rosną co rok większe plony zbóż, rośnie Polska robotników i chłopów, dzieło robotniczych i chłopskich rak — trwa walka. Towarzyszu Broniewski, Wy za często powtarzacie swoje ulubione „do widzenia”. Wasze wiersze pomagają nam zrzucić jarzmo kapitalizmu, towarzyszyliście nam w walce... od Was zależy, czy będą nadal towarzyszyć w walce i budowie, czy będą pomagać. Towarzyszu Broniewski, Wściełanie budzi, nie mówcie nam do widzenia, nie, czas.

Poezja Broniewskiego dobrze służy klasie robotniczej, dobrze służy Polsce Ludowej i mogłaby służyć także, i powinna, służyć także i towarzyszyć i kazać przy warstwie, służyć przy tokarce, hutnikowi przy wielkim piecu, kolejarzowi w parowozie, murarzowi przy budowie, chłopu na spółdzielczym polu, jako czynnik pobudzający do dalszych wzmożonych, zwycięskich czynów. Nie kwiaty, ale nowe domy i nowi ludzie rosną.

My, nowi ludzie, młodzi poeci uczymy się od Broniewskiego, siły wyrazu, uczymy się przeżywać i pisać silnie. I właśnie dlatego mamy prawo nie odpowiedzieć Broniewskiemu na jego „do widzenia”. Chcemy, aby Broniewski nauczył nas jeszcze jak silnie, z jaką siłą rewolucjonista należy poezją pomagać naszym towarzyszom robotnikom i chłopom. Wierzymy, że Broniewski zadanie to spełni. Bo Broniewski zawsze dotychczas spełniał postulat prawdziwej wielkiej poezji. Jego wiersze są „socjalistyczne w treści, a narodowe w formie”. I dlatego jego wiersze są silne i bliskie, jego wiersze są piękne i proste, są wielkie i ludzkie. Więcej — wiersze jego są własnością ludzi pracy. To są wiersze rewolucjonisty.

Marian N. Listowski

Marian Wilczyński

„Do powszechnej piśmienności”

Powiat Radom na tle ogólnego stanu w kraju nie był ani lepszym, ani gorszym. W 1939 r. bowiem Polska miała 32,5 proc. analfabetów — powiat zaś tutejszy 28,7 proc. Procenty te — to straszliwe oskarżenie rządów sanacyjnych.

Okres okupacji niewątpliwie stan ten jeszcze bardziej pogorszył. Odczytaliśmy więc tak w skali ogólnopolskiej wykazała w 1945 r. na tutejszym powiecie 80,9 proc. analfabetów. Co trzeci niemal mieszkaniec wsi nie umiał czytać i pisać, co trzeci obywatel nie korzystał z książki i gazety. Ogromne zacofanie wsi, brak całkowicie zapotrzebowania na słowo drukowane, niewiara we własne siły, dzwona nawet niechęć ludzi starszych do tych, którzy chcieli uczyć, częste wyśmiewanie i drwinę z tych, którzy okazali chęć uczenia się — oto powszechne niemal zjawisko w pierwszych latach likwidacji analfabetyzmu.

I tak w 1945 r. czynnych było na naszym powiecie tylko 2 kursy z 16 uczestnikami, w 1945/46 zaś 12 kursów ze 130 słuchaczami, zaś 1946/47 już 32 kursów i 1020 słuchaczy. Od tego czasu liczba kursów gwałtownie wzrosła, już bowiem w roku 1947/48 jest czynnych 109 kursów z 1460 słuchaczami, a w r. 1948/49 152 kursy z 1724 słuchaczami i wreszcie w bieżącym roku pracowało 328 kursów, przekształcając 5.617 analfabetów.

W ten sposób 10.967 ludzi na wsi, dla których świat książki i gazety był straszliwie odległy, zostało przywróconych Polsce. Zwalacza ci, którzy w ostatnich miesiącach nauczyli się czytać i pisać — jakie cieszyli się, że w miesiąc mają składować swe podpisy zamiast krzyży pod tak doniosłym i ważnym dokumentem, jak Apel Pokoju.

Ala zanim zdołano zorganizować kursy, było tu wiele światła a jeszcze więcej ciemności.

I tak pisze jeden z nauczycieli: „...początkowo nie chcieli analfabeci słyszeć o żadnych kursach, szukając różnych dróg uchylania się. Wszyscy twierdzili, że nie są analfabetami — „jo tam nie jemem alfabeta”. — To też chodziliśmy do domu każdego analfabety i przedstawialiśmy korzyści z nauki.”

Inny znów nauczyciel uczący we wsi powstałej z dawnej służby folwarcznej, a więc ludności trzymanej specjalnie w ciemności, pisze, że zgłaszający się na kurs przychodzili wprawdzie, ale tylko po to, aby oznajmić, że mają „słaby wzrok, słaby słuch, nie mają głowy do nauki, mają chore nogi, brak czasu, a to znów małe dzieci w domu, że wreszcie „jak mójśyś będa” chodząc, to i oni.”

„A więc wszystko robili, stwarzali sobie istotne i domniemane przyczyny, aby tylko nie uczyć się, — oto straszliwe resztki dnia wczorajszego.”

Jeszcze inny nauczyciel pisze, że jego analfabeci mimo, wstyd, że nie umieli czytać — okazali również fałszywy wstyd wobec otoczenia, które choć samo nie wiele więcej od nich umiało, jednak wyśmiewa się z nich. I dopiero pomogła interwencja, a zwłaszcza, gdy sprowadzono najbardziej opornego, który nie tylko że sam nie przychodził, ale buntował i ośmieszał innych, mówiąc, że „kurs nic mi nie da, to tylko strata czasu.”

Jednak już po paru odbytych lekacjach stwierdził z żalem: „Dla czegoś wcześniej mnie nie sprowadzono.”

Taki obraz niektórych wsi rzucił jasne światło na ciemność, niewiarę we własne siły, brak zapotrzebowania na naukę czytania i pisanie. Taki obraz znajdujących się jeszcze dziś tu i ówdzie wsi oskarża rządy sanacyjne za politykę kulturalno-światową na wsi, za celowe utrzymywanie chłopów w ciemności. Ale w większości chłop już szybko dojrzewa, rozumiał dokonane i dokonywane zmiany i idzie im na spotkanie, garmąc się do nauki, zdobywając wiedzę i ciesząc się, jak pisać jedną nauczycielka, że „już czytają, że umiemy się podpisać. Dziś widzą, że krzywdą im się działo, że ongiś, „nikt o nas nie dbał i dopiero w Polsce Ludowej mamy możliwość nauki, nie będziemy już ślepi, jak dotychczas byliśmy.”

A oto inny słuchacz tak mówi: „W latach ubiegłych ponieważ nie wymagano więcej od człowieka, jak tylko podpisu i to krzyżykami, zainteresowania nauką nie było, tym bardziej, że i o gazetę było trudno na wsi — a brak pracy i groza nie pozwalała na kupno gazety lub książki.”



Uroczyste zakończenie kursu dla analfabetów w Sieradzu.

Marian Wilczyński

SEWERYN SKULSKI

Po kursach dla analfabetów

Jakoś wczesną wiosną rozeszła się wieść po całej wsi, że jakoby każdy, kto nie umie czytać ani pisać, będzie chodził do szkoły. Różni ludzie różnie mówili, ale najwięcej powiedziało Szymczak, chociaż sam był analfabetą:

— Hm — mruknął — Obaliliśmy panów, to może jako i z ich ciemnotą uporamy się!

Byli i tacy, którzy poczęli utyskiwać.

— Jakto? Na starość do szkoły? Ja już i tak życia dokładałam, boć przecie swój rozum mam.

Wszystko to jednak ucichło na dość długo. Jakoś po połowie lata, otrzymując wezwanie z urzędu gminnego na zebranie w sprawie walki z analfabetyzmem. Po wygłoszeniu referatu o konieczności zwalczania analfabetyzmu, rozpoczęło się wyznaczanie ludzi po wsiach do spisu analfabetów. Na moją wieś zarząd gminy wyznaczył mnie i innego obywatela. Naturalnie przyjmuję tę misję. Po otrzymaniu formularzy, wyznaczamy daty, w których będziemy odszukiwać analfabetów, ale już wiemy, że będzie to praca nie łatwa.

Wiemy o tym, iż ten i ów są analfabetami, ale większość kryje swój analfabetyzm. Po przejściu kilku mieszkań przekonujemy się, że niektórych analfabetów „nie zastaliśmy w domu”. Po prostu chowają się, aby się nie dostać na listę. Radzimy sobie z tym, wiemy, gdzie go zapisać — na kursa.

Chwyciliśmy się prostego a dobrego sposobu. Od każdego mieszkańca domu, domagamy się napisania czegoś i przeczytania. Jeżeli pisze z błędami, czyta słabo — notujemy: Półanalfabeta i: Na kursa. Byli tacy, którzy pomagali nam w pracy i otwarcie mówili—analfabeta. Byli i tacy, którzy nam honorową pracę utrudniali. No i co z takim zrobisz, który choć umie czytać i pisać, ale my tego nie wiemy, a on uparcie odmawia czytania i pisanie. Może cackać się z takim? Piszemy: Analfabeta. Na kursa.

Gdyśmy już ten spis podług nas jak najlepiej opracowali, co nam zabrakło jedną całą niedzielę i trzy wieczory — niesiemy do urzędu gminnego. Wójt, człowiek z chłopskim rozumem, po przejrzeniu i po zapoznaniu się z nazwiskami analfabetów we własnej wsi, bo z mojej wsi pochodził, rozjaśnił swoje oblicze, poruszył się na krześle, jakby wiele zadowolony i powiedział:

Andrzej Skupień-Florek



Biblioteka ZSCh w Drwalowie.

Krystyna Leśniewska

ANDRZEJ SKUPIEŃ — FLOREK

SŁOWO O „MICKIEWICZU” MIECZYŚŁAWA JASTRUNA

„Pryskają nieczule lody,
I przesady światło cniące...”
A. Mickiewicz
Nie wiele, ale jednak czytalem niektóre dzieła Adama Mickiewicza, a między innymi także i „Ode do Młodości” z której zapożyczyłem sobie powyższe motto — mimo to o samej osobie Mickiewicza i Jego rozległej działalności wiedziałem niewiele, i to zresztą zawierało wiele fałszów, tembardziej że uczeni burżuazyjni, umiarkowani Mickiewicza za swego, a słowa jego tłumaczyli po swojemu i na korzyść własnej sprawy. Dopiero w obecnym powojennym czasie pomocy Rządu rozpowszechnia się kultura i czytelnictwo na wsi i możliwe warunki nabycia książki, udało się i mnie dostać w swoje ręce książkę piękną i prawdziwą, rozprawiającą o Mickiewiczu, a napisaną przez Mieczysława Jastruna.

Po przeczytaniu tej książki naprawde „pryskają” zimne „lody” prawdy i „przesady” zakrywające prawdę o naszym Wieszczu Narodowym.

Każdy, kto przeczyta to cenne dzieło Mieczysława Jastruna, pozna całą prawdę w szczegółach dotyczącą nie tylko jego życia czy twórczości, ale pozna i tę prawdę, że Mickiewicz był gorącym zwolennikiem braterstwa ludów w walce z despotyzmem reakcyjnych rządów. Przekona się jak nienawidził carat i caratistę, a jaką wielką i szczerą przyjaźń żywił do rosyjskiego narodu wśród którego postępowych przedstawicieli znalazł prawdziwych przyjaciół.

Przeczytawszy rozdział tej książki traktującej o braterstwie ludów, wtedy zrozumiał trochę naszą „Spółną moc zdołała tylko nas ocalić” którego słowa w swojej młodości czytałem z obrazu Stachiewicza, przedstawiającego Mickiewicza w wymownej po-

zycji kiedy przemawiając rzucił ludom właśnie to swoje wielkie hasło. Z innych rozdziałów tej książki dowiemy się czytelnik jak Mickiewicz spoglądał na wybuch rewolucji wyjeżdża do Włoch, aby podjąć wspólną walkę z Austrią o wyzwolenie ludów słowiańskich. W Rzymie udaje się z deputacją do ówczesnego papieża Piusa IX, którego pragnie pozyskać dla swojej sprawy i w tym celu prosi papieża by „nie dbając na żadne względy stanął na czele wielkiego ruchu ludów, żeby powiedział wreszcie światu, co myśli o despotyzmie, żeby potępił tych którzy z podziału Polski uczynili prawo.” (Tom II str. 170). Byli to jednak starania daremne. Mickiewicz widząc, że jego próby i przekonywania papieża nie odniosą pożądanego skutku, „poszedł nagle do zdumionego papieża i potrząsnął ręką jego wołając: — „Wiedź, Duch Boży jest teraz w bluzach robotników paryskich” (Tom II str. 172).

Wartując karty książki Jastruna dowiadujemy się jak jednostonne i kłamliwe były tezy głoszone w Polsce przedrewolucyjnej, które zacierały idealistycznie rewolucyjną i postępową postawę Mickiewicza, czyniąc go stronnikiem uprzywilejowanych klas szlacheckich. Na dowód przytaczano choćby poemat „Pana Tadeusza” w którym odmalował życie samej szlachty, pokazując jak mało w nim poświęcił miejsca chłopom chociaż na chłopach opierała się budowa narodu i społeczeństwa szlacheckiego. Dziś stało się wiadomym, że to nie jest wina Mickiewicza, że chłop w ten czas nie był siłą czynną w znaczeniu narodu, że była to wina szlachty i ustroju państwa, któremu sam Mickiewicz występował, czemu dawał wyraz w tym samym poemacie kładąc w usta Tadeusza własne słowa: „Sami wolni, uczymy i

wolności wolnymi. Oddajemy im w dziedzictwo posiadanie ziemi”. Ks. XII w. 502—503.

Niestety, jak w społeczeństwie Polski przedrewolucyjnej tak i w Polsce przedrewolucyjnej byli „kwaśni Gierwazi”, którzy ciągle żyli w przekonaniu, że „...wolność nie jest chłopską rzeczą, ale szlachecką”. Ks. XII w. 540.

Mickiewicz pracując z wszystkimi i wszędzie walczył o wolność wszystkich uciśnionych warstw i ludów. Już pierwsze strony tej książki przykuwają do siebie czytelnika a mocniej jeszcze przykuwają tego wielkiego. Na wstępie poznajemy całe dzieciństwo Mickiewicza i bliższe stały się nam przez to, że jak i my chłopcy wsi, przysłuchiwałem się cpo wiadomom posiadłom. Ciekawości go wierzania, przesady i zwyczajne ludowe wiązanie. Polubił ludowe pieśni, podania i baśnie, poznawał z bliska życie i dole chłopów. Nie też dziwne, że jest tak bardzo czczony przez ogół obywateli Polski Ludowej.

Z książki Jastruna czytelnik może nauczyć się bardzo wiele nie tylko o Mickiewiczu, ale o całej epoce. Idąc poprzec całość tej książki spotkamy postacie wielkich poetów, spotkamy Goethego, wielkiego poe Niemiec, i Słowackiego, Puszkina, Ryłiewa; poznamy wielu wybitnych rewolucjonistów, zobaczymy walkę ludów o wolność i braterstwo, zbliżymy się do tego, co w ówczesnym świecie było najpiękniejsze i najszlachetniejsze. Idąc wraz z Mickiewiczem przejdziemy Litwę, Moskwę i Petersburg, Rzym, Paryż i Konstantynopol, dojdziemy z niesłabnącą ciekawością do ostatnich chwil życia Mickiewicza. Dalej zobaczymy trumnę z jego zwłokami na wozie zaprzężonym w parę wołów jadących ulicą pod Górę Pańską. „Za wozem szli obok siebie

Dziś każdy wygląda listonosza wiejskiego z jego „Gromadą” czy „Przyjaciółką”.

Jaka radość bije z pierwszych listów, napisanych przez niedawnych analfabetów: „Już nie jestem analfabetą”, „ja nie potrzebuję prosić żony, aby mi list napisała”, „wiesz — już umiem pisać i sam ten list piśię do Ciebie” i wreszcie „jaka to przyjemność napisać list samemu”, „ja nie umiałam się podpisać, ja nie raz plakałam, że nie umiałam się podpisać — ja teraz jestem bohaterką”.

Słowa te mówią same za siebie i są najlepszą zapłatą dla nauczyciela, są wyrazem wdzięczności dla Polski, że okazała się dla nich prawdziwą matką.

Obraz nie byłby pełny, gdyby nie dodać, że na terenie tutejszego powiatu w roku bieżącym czynnych było 200 kursów polemicznych i zespołów czytelnich, pracujących bardzo intensywnie. Również zakończyło swe prace 14 kursów trzeciego stopnia z 280 słuchaczami.

Nowością w tym roku były cztery dość liczne zespoły, (po stu słuchaczy), przerabujące klasę ósmą. Zespoły te, grupujące młodzież dorosłą, która nie mogła sobie pozwolić na wyjazd do miasta, znalazły tu widoczne pole do popisu. I istotnie — wyrzucili się mitylo piśmiennością w uczeniu i nauce — ale również w głębokim ujęciu poszczególnych przedmiotów.

W ten sposób miliony nowych ludzi na wsi i w mieście stały do udziału w nowym życiu, w ten sposób — jak powiedział premier Cyrankiewicz: „Nowa kultura, wielka, niezwykła, młoda kultura wsparła o wszystko co najlepsze z przeszłości, rodzi się wraz z budownictwem socjalistycznej Polski” i zyskuje ona nie tylko nowych odbiorców, ale i nowych współtwórców.

Marian Wilczyński

STANISŁAW KRAKOWIAK

PO EGZAMINIE

Żniwa już przeszły, poplony posiadane, pierwsze omoty wykazują pęknięcie urodzaje. Zbliża się czas tradycyjnych dożynek. Są to pierwsze dożynki w planie 6-letnim, pierwsze w wielu spółdzielniach produkcyjnych.

W dożynkowy czas przeanalizuję wyniki swej pracy indywidualnej rolnika, przeanalizuję swój dorobek paromiesięczny czy paroletni spółdzielni produkcyjnej.

Ob. Wachowca, gospodarza ze wsi Łazanowska Wola, pow. bieżniński spotykam na drodze z kościoła do domu. Żniwa już dawno zakończył, wymiata teraz owies i jęczmień. Wyprowadza się z tej wsi... na swoje dwa hektary w Chruchach Sarych. Dlaczego? Nie chce naćwiczyć do spółdzielni produkcyjnej, nie chce pracować razem z „kolchoznikami”. Na pytanie — czy żniwa skończył wcześniej niż spółdzielnia stw. e. d. za, że tylko o parę godzin. Pracował do późnej nocy, a spółdzielcy skończyli w dniu następnym. Boi się płaskiej orki, nie chce pracować za innych itp.

Ob. Wachowca ma kilka ha ziemi poniemieckiej. Jest dobrym rolnikiem ale mało wyrobionym społecznie. Trzeba go przekonywać i on sam chce być przekonany faktami. Czekaj i sądził, że na wiosnę spółdzielnia rozpadnie się. Kiedy siewy wykonano dość sprawnie — czekał na żniwa. Wtedy miał być koniec ze spółdzielnią w Łazanowskiej Woli. No i zawiódł się, bo właśnie żniwa były egzaminem tej spółdzielni, która nie tylko w czasie sprzątnięcia zboża u siebie, ale pomagała także indywidualnym gospodarzom. Te żniwa przynajmniej Wachowca swoją faktyczną wymową, nie może o nich źle powiedzieć. Nie mogą płotkować i inni wrogowie spółdzielczości produkcyjnej.

„Ano, trzeba będzie we wrześniu wyprowadzić się na swoje do Chruchów. Tam nie mówią jeszcze o spółdzielni. Ładnie tu ale trzeba... w głosie markotna nuta. Ojciec i dzieci patrzą na dom do którego założono już przewody elektryczne... za parę tygodni błysnie światło. Kto wie może wtedy?... „Nieświadość określa błąd ale był krytyczny świadomość”.

Przewodniczącego Spółdzielni Produkcyjnej ob. Rebzdę Franciszka spotykam w stodole. Doprowadza do porządku kose. „Dzień w dzień pracuję się w spółdzielni, w niedzielę mam czas robić na swoim obocisku” — mówi zażenowany niebo, bosy i roboczo ubrany. Rozmawiamy o żniwach, o pracy w spółdzielni, o przygotowaniu do dożynek...

„Spółdzielnia nasza — mówi ob. Rebzda — powstała 28 stycznia 1950 roku. Jest to spółdzielnia I typu, choć już dużo członków myśli o III-cim typie. Wiesz Łazanowska Wola to wieś trudna. Sporo jest repatriantów z za Buga i z różnych części Polski. Jest kilku miejscowych gospodarzy. Dawniej była to wieś niemiecka, nazywała się „Grünbach”. Rozwój spółdzielni jest utrudniony. Ale ostatnie żniwa zadecydowały”.

„Zawarliśmy z P. O. M-em z Bogdanek umowę na skoszenie 120 ha zboża na ziemi już spółdzielczej i na działkach poszczególnych członków, którzy od żniw włączają się do spółdzielni. Przysłano nam 3 snopowozki i 3 traktory. Ponadto korzystamy z pomocy S. O. M-u z Łazanowskiej Woli. Chcieliśmy, aby i indywidualne gospodarstwa skorzystały z maszyn ale na zebraniu nie chcieli z nami rozmawiać. Sądzili, że wcześniej skożą niż my. Okazało się inaczej. Przekonali się, że maszyny ani koniem ani chłopem nie przegonisz. Robota na naszych polach szła jak złoto. I co? Jak to zobaczyli nasi sąsiedzi to lecieli do nas na łeb na szyję z prośbą, aby i do nich maszyny przysłać. Zgodziliśmy się, ale pod warunkiem, że oni pomogą nam w zwózce zboża do stodoł. Zgodzili się chętnie.

Co to było za zdziwienie wśród dalszych mieszkańców naszej wsi — gdy zobaczyli, że do naszych stodoł zwożą nasze zboże tacy wrogowie spółdzielni jak Antosiak — „wóz repatriantów”, Stepowicz, Fiks... Duża pomoc dała spółdzielnia ekipa rolnicza Zjednoczenia Przemysłu Maszyn Włókienniczych z Łodzi oraz PZGS z Brzezina, który przysłał kilku pracowników i wóz parokenny. Po ustawieniu zboża w mende przystąpiono do podorywek.

Do 28 lipca wszystkie zboża mieliśmy sprzątnięte — mówi dalej Prezes Rebzda. Wyrośli się w pracy członkowie spółdzielni Rokita, Olejnik, Kacperski, Stasiak. „Czy mieliśmy trudności — naturalnie, kto widział, aby sło wszystko gładko jak po masle. O mało co nie doszło do bójkii”. Tu prezes Rebzda opowiedział mi, że kiedy spółdzielcy zwozili zboże do stodoły naprzeciw zabudowań niejakego Loli, wyszło stamtąd kilku pijanych weselników i zaczęło ubliżać i spółdzielni i członkom a przesyłając najwięcej. Szukali zaczepki, chcieli bitwy.

„Nie daliśmy się sprowokować, nie dał się namówić i nasz członek Rokita współwesołił z pop. zednego dnia. Pracował on z nami nie zwalając na ich nawoływania i pogróżki” — mówi z naciskiem ob. Rebzda. „Czym były dla nas te żniwa? Ety egzaminami naszej sprawności gospodarczej. Zdałszy ten egzamin na dobrze” — kończy z uśmiechem prezes — główny motor całej pracy.

Ta wygrana mała „bitwa” o syczą ekcję żniwną podzielała na wahających się mieszkańców Łazanowskiej Woli, zatkła usta plotkom i wrogom spółdzielczości wsi polskiej. Praca żniwna zjednoczyła członków jeszcze mocniej. Uświadomiła ich i utwierdziła w przekonaniu, że krocza słuszną, prostą drogą do lepszego jutra.

Dożynki gminy Mikołajów odbędą się w Łazanowskiej Woli pod znakiem elektryczności. W tym dniu zabijana we wszystkich domach żarówki. Dzień przezwyciężyć noc.

Stanisław Krakowiak

ANDRZEJ WERA

Jeszcze lepiej gospodarzyć...

„Jeszcze lepiej gospodarzyć... oto zadanie jakie sobie postawili robotnicy rolni i dyrekcja Zespołu PGR nr 11 Dęboleka. Gospodarstwo leży w powiecie sieradzkim, na terenie zniszczonym przez działania wojenne. Widać wokół Dęboleki wsie odbudowujące się po zniszczeniach.

Nie więc dziwnego, że robotnicy PGR-u wespół z dyrektorem ob. Józefem Kozimorem, do niedawna robotnikiem łódzkich fabryk części elektrycznych starają się za wszelką cenę promieniować na ocażające Zespół wsie, by w ten sposób podnieść zaniedbane rolnictwo powiatu sieradzkiego.

Nie drazu jednak doprowadzono państwo we gospodarstwo do takiego stanu, w jakim jest dzisiaj. Polityka personalna w pierwszych latach po wyzwoleniu byłego mikołajkowskiego Zarządu Okręgowego Przemysłu Nieruchomości Ziemiskich prowadziła do obsadzania na majątkach byłych rządów i plenipotentów. I w Dębolece usadowiła się „gro-

madka” mająca na uwadze własną kieszeń. Ale robotnicy, pamiętający dotrę dawnego właściciela Dęboleki przed którym czapkowali i którego — co należało do obowiązku robotnika — musieli całować po rękach, walczyli z całą świadomością proletariacką przeciw ówczesnemu kierownictwu zespołu. Z nich wyrastali nowi kierownicy poszczególnych gospodarstw podlegających zespołowi, byli formalnie dz. s. bygdery polowi. Dawny robotnik rolny Zygmunt Wolski objął kierownictwo gosp. d. w Zalesiu, byrgadier polowy Józef Szubert awansował na staćwisko kierownika w pobliskiej Wolicy, były robotnik Kemiński i s. t. o. n. kierownikiem gospodarstwa zespołowego w Lesznie. Ci ludzie, wespół z silną grupą robotników oczyszczali stopniowo administrację państwowych gospodarstw rolnych, z obcych klasowych elementów. Dział Dęboleka należał do najlepszych Zespołów PGR-owskich w wojew. łódzkim. Dyrektor Zespołu ob. Kozimor

dawny robotnik łódzki, były mechanik zespołowy w majątku dokłada wszelkich starań, by Dęboleka świeciła wzorem wsi.

I tak jest w istocie. Zespół rozbudowuje się mocno, poczyniono poważne inwestycje. W trakcie budowy są kurniki przeznaczone dla 5 tys. kur, buduje się olbrzymie chlewnie, obory, magazyny na zboże i maszynę. PGR po kryzysie jaki przeżywał jeszcze parę miesięcy temu, kiedy w dyrekcji i administracji tkwili byli popiecznicy dziedzica, pomyślnie rozwija się gospodarstwo. A obok podnoszenia poziomu gospodarki rolnej, wiele uwagi skupia się także na sprawach społecznych.

W gospodarstwie Koberzyckim podlegającym zespołowi jest na ukończeniu budowa domków bliźniaczych dla robotników rolnych. Zamieszka w nich już w tym roku 16 rodzin robotniczych. W pozostałych gospodarstwach prowadzone są remonty dawnych budynków czworaczych, zaś w Dębolece ukończono już naprawę czterech domków dwu rodzinnych.

Myśli się również w zespole o sprawach kulturalno-oświatowych. W 11 świetlicach zbierają się co wieczór po pracy robotnicy, by poczytać przychodzące gazety (prenumeruje się ich na cały zespół ponad 340. W tym „Głosu Robotniczym” — 240 egzemplarzy) posłuchać radia, wypożyczyć książki z ruchomych bibliotek. Bibliotek takich jest 11. Wdrują one z gospodarstwa do gospodarstwa. Są to książki fachowe, beletrystyczne i biblioteczki klasycznych marksistowskich. Robotnicy nie czytają narażenie wiele, lecz są tacy, którzy już wszystkie książki z dotychczas goszczących w Dębolece bibliotek przeczytali. Należą do nich traktorzysta Jasiak Kaczmarek.

Obok książki, robotnik rolny Zespołu zdobywa wiedzę na kursach organizowanych przez Podstawowe Organizacje Partijne PZPR. We wszystkich gospodarstwach prowadzone jest szkolenie ideologiczne, odbywają się kursy dobrego czytania, kursy dla analfabetów, których w Dębolece jest jeszcze dużo. Jeżeli któryś z robotników ma szkołę, jak to się tu mówi, to nie więcej jak dwie klasy szkoły powszechnej. Reszta nie chodziła do szkoły. Dlatego Tomasz Resterniak przez czterdzieści lat pracy w Dębolece podpisywał się krzyżkami i dopiero w tym roku nauczył się pisać i czytać.

Poza tym dla robotników rolnych organizowane są w porze zimowej kursy, kroju i szycia. Robotnicy znajdują w Zespole dobrą opiekę. Pracują dlatego chętnie i dają do tego, by jeszcze lepiej gospodarzyć...

Tadeusz Ostrowski

Andrzej Wera

MARIA SAWICKA

CHCEMY WALCZYĆ

Nie wiem, czy mnie wychowawca „wysoko postawionej” szkoły wolno „stanać okoniem” i... powiedzieć choć jedno zle słówko na nią.

Od pewnego czasu jestem stałą czytelniką „Wsi” i czytam ją od deski do deski. Najwięcej interesują mnie artykuły dyskusyjne, które rzucają nowe światło na zagadnienia literackie i społeczne.

Prawie dwa lata temu czytałam „Listy maturalistów” i artykuł Macieja Koliby „Praktyka licealna”. Pozazdrościłam maturalistom świadomości i wyrobienia, a Kolibę dzieckiem w duchu za to, że pisał czym powinien być polonista w gimnazjum.

Niestety ówczesny mój polonista był wszystkim, tylko nie polonistą. Trzy lata słuchałam wykładów z literatury i wciąż myślałam, że to nie literatura, że to dopiero wstęp do literatury. Po tak „wspaniałym” wstępie bałam się literatury jak ognia, przeklinałam wszystkich poetów i pisarzy.

Wiedziałam np. że Prus napisał „Lalkę”, że jest w niej postać panny Izabelli Łękiej, że panna Izabela w pewien poranek kwietniowy leżała na kanapie i coś myślała. To był jeden z najważniejszych momentów „Lalki”. A drugie najważniejsze zagadnienie to list Prezesa do Wokulskiego. Tego niesłychanie ważnego listu uczuliśmy się na pamięć. Profesor nasz mawiał: „jakże, cymbalku napiszesz do cioci, czy damy swego serca, skoro nie będziesz znał tego klasycznego wzoru. „Tyle wiedziałam o „Lalce”.

O „Powracającej fal” zaś wiedziałam: że występuje w niej „Iotr” Ferdynand Adler, który ośmielił się proponować córce Böhmego aby otwierała okno w swym pokoju, proponował to dziewczęciu, które zapewne miało czyste, własne i „s. lachetne ideały”. Z „Placówki” znałam na wyrywki topografię zagrody Ślimaka.

Takie były nasze wiadomości z literatury.

Potem sytuacja zaczęła się zmieniać. Powstał ZMP, odmówił się także skład profesorów. Zaczął wykladać nowy polonista. Byłam zdumiona, że lekcje polskiego mogą być ciekawe, podniecające do niekończących się dyskusji.

Zimą 49 roku przeczytałam we „Wsi” artykuł pt. „Koniec z takim uczeniem”. To mało powiedziane: przeczekałam, przesyłam ten artykuł. Wydawało mi się, że to o nas mowa, w artykule. Gdyby nie zmiana profesora może i ja widziałabym w pozytywizm ideologię, która i „dzis jest bardzo aktualną”. Nowy nauczyciel przywrócił właściwe oblicze nauki o literaturze. Dzisiaj nie potrafię już myśleć o pozytywizmie, nie myśląc o kapitalizmie.

Koło ZMP także robiło swoje. Ono pierwsze wprowadziło do gimnazjum problem walki klasowej, problem

walki z drobniomieszczańskimi nawykami. My zetępowcy wiedzieliśmy, że szkoła jest także areną walki politycznej, że wróg klasowy wciąż się do szkoły. Zaczeliśmy uważnie przysłuchiwać się lekcjom, podchodzić krytycznie do wypowiedzi sądów niektórych nauczycieli. Muszę podkreślić, że są profesorowie, jak opiekun ZMP, którzy pomagają nam w pracy, pomagają usuwać trudności. Ale są jeszcze i tacy, którzy jawnie chcą nam przeszkadzać. W ZMP bijemy się o to, aby pogłębić naszą dojrzałość ideologiczną, postawę polityczną. Staramy się dużo pracować, uczyć, chcemy, aby nasi członkowie stali się aktywnymi młodzieżowymi, dużo dyskutowali. Chcielibyśmy przenieść te metody na lekcje. Okazuje się, że to jeszcze w 50 roku nie łatwa sprawa, gdyż kiedy uczeń chce postawić jakiś nowy problem, profesor przecina ostro: „bez dyskusji”, lub bardziej, radykalnie: „milczcie!”

Na lekcji, kiedy omawiamy szlak bojowy Wojska Polskiego nie wolno nam zauważyć, że Związek Patriotów Polskich w ZSRR powstał w czasie wojny, a nie przed wojną. I czy tu nie widać wycinka frontu walki klasowej?

A dalej. Bardzo ważnym zagadnieniem jest dla nas praca w szkolnym hufcu SP. W naszej szkole i to zagadnienie wypaczono. Nie wiem, czyja w tym wina, czy dyrekcji, czy władz wyższych, że na kurs komentantów szkolnych hufców SP wysłały się niekiedy profesorów, którzy się do tego absolutnie nie nadają. Jakże później hufce szkolne różnią się od letnich byrgad. W letnich byrgadach pobijałszy normy, pokazywaliśmy swą dojrzałość polityczną. A w hufcu szkolnym traktując nas niepoważnie. Często czekamy godzinę i więcej na profesora — komentanta, który jeszcze dzisiaj nie wie, co to jest punktualność. Czekamy godzinę na jaloową zbiórke, która tylko rozdrażnia. Prasówka sprzed trzech tygodni i wykład — wierne odbicie wiadomości zdobywanych w 7 klasie szkoły podstawowej. Dla ucznia to na następnej zbiórce karny raport, czyli „za karę napiszesz, co wiesz o PO SP”. Smutne, ale prawdziwe. Czy w byrgadach letnich myśleliśmy kiedy o tym, że SP to kara? Chłubiłiśmy się i chlubiemy miannunaka i znajomością naszej organizacji.

Ob. Redaktorze! Nie jeden już raz „Wies” brała w obronę swych młodych czytelników, pomagała im w walce. Bardzo chciałabym, aby to, co napisałam znalazło się na łamach „Wsi”. Jest to odpowiedź nie tylko moją ale wszystkich postępowych uczniów, zetępowców i espowców. Chcemy walczyć nie tylko na miejscu, ale także i słowem drukowanym, które jest dobrym biczem na oportunistów i wrogów klasowych.

Maria Sawicka

TADEUSZ OSTROWSKI

W walce o zdrowie wsi

Są jeszcze — i jakże częste — nieestetyczne wypadki na wsi — że babki odbierają porody nie tylko w okolicach, gdzie położnych brak, lecz również w tych miejscowościach, w których są położne.

Co prawda władze walczą z barbarstwem, ale mają ogromnie utrudnioną pracę z powodu uporu ludności wiejskiej, która wyzywa babki do porodów i osłania je przed zarządzeniami karnymi. Większość położnych ma nadal trudny dostęp do domów wiejskich. Na straży zdrowia jeszcze często stoi babka — uosobienie nieścisłości, choroby i śmierci, obrona zacofania i ciemnoty.

Odcinek pracy, oddany przez państwo w ręce położnej, jest bardzo ważny i odpowiedzialny. Państwo, chcąc zapewnić swym obywatelom dobrą i rzetelną pomoc położniczą, stawia wysokie wymagania kandydatkom na położne, łożące na ten cel olbrzymie sumy. Dąży się przy tym, aby wieś dostarczała jak najwięcej kandydatek na położne.

Położne pochodzące ze wsi mają tę przewagę nad położnymi napływającymi na wieś z miasta, że są znane kobietom i łatwiej jest im wyrobić sobie praktykę, gdyż cięższą się zaufaniem sąsiadek i znajomych.

Jak przedstawia się ta sprawa na Pomorzu zachodnim? Centralna poradnia matki i dziecka w Szczecinie otwiera stale coraz to nowe wiejskie izby porodowe.

Podczas gdy w ubiegłym roku było czynnych na terenie województwa: szczecińskiego i koszalińskiego zaledwie 10 izb porodowych, obecnie jest ich już 36. Stawia to Pomorze zachodnie na czołowym miejscu w Polsce.

Izby porodowe odpowiednio wyposażone w sprzęt, bieliznę, bieżącą wodę i potrzebne instrumenty kliniczne, cieszą się coraz większą popularnością wśród kobiet wiejskich, chętnie korzystających z ich fachowej opieki i pomocy.

Do najlepiej zorganizowanych izb porodowych na Pomorzu zachodnim należą izby w powiatach pyrzyckim, stargardzkim, nowogardzkim i szczecińskim, choć i w innych powiatach izby te stoją na odpowiednim poziomie.

O zrozumieniu przez wieś korzyści, jakie dają te izby, świadczą na przykład fakt, że chłopcy gromady Kiełczygłowy w powiecie miasteczkim samorządnie uruchomili izbę porodową, a mieszkanka gminy Rewal, powiat Kamień, gdzie organizuje się obecnie spółdzielnię produkcyjną, zobowiązała się dać na remont izby porodowej pół miliona złotych w robociznie.

Spośród kilkudziesięciu położnych, pochodzących przeważnie ze wsi, które wyróżniły się w pracy nad niesieniem opieki matce ciężarnej i jej dziecku, przodują starsze, doświadczone kobiety, odznaczające ostatnio srebrnymi krzyżami zasługi.

Są to Antonina Bacz z Okonka



JOZEF FIREK

W ZAKLICZYNIE NIE MA ŚWIETLICY

Jest w pow. Myślenieckim wieś, która do dziś nie może poszczycić się posiadaniem świetlicy.

Wprawdzie mamy we wsi i partię polityczną i organizację społeczno-gospodarczą, jest i Związek Młodzieży Polskiej, jest także spółdzielnia Samopomocy Chłopskiej, i nawet Ośrodek Maszynowy, ale świetlicy jak nie było tak nie ma, choć sprawa ta już od 1947 r. była poruszana na zebraniach i gromadzkich i spółdzielczych.

Na skutek braku świetlicy zebrania gromadzkie urzędują się bądź pod gołym niebem, bądź w budynku szkolnym, lub wreszcie w baraku przy budującej się obecnie szkole. Odczytów, akademii nie urzędują się, bo nie ma gdzie. Gazety, (a jest około 60 gospodarzy prenumerujących) czyta się w domu, a potem gdy zejdą się gdzieś chłopcy, czy spotkają, dowiaduje się jeden od drugiego — ano to i to w „Rolniku”, „Gromadzie”, „Chłopskiej Drożdzie” czy innych gazetach było napisane, a szkoda, że tych wiadomości nie czytają wspólnie, bo nieraz ważne dla ogółu wiadomości późno dochodzą ze szkoda dla mieszkańców. Wszystko wskutek braku „świetlicy”. W ten sam sposób odbywa się czytanie książek.

W ostatnich czasach Zakliczyńskie koło ZMP czyni starania o otwarcie tej tak potrzebnej placówki kulturalnej, lecz jakoś to ciężko idzie, bo jak słychać, w lokalu gdzie miało urządzić świetlicę ma być otwarta rzeźnia.

Czy naprawdę nie ma we wsi domu z odpowiednią izbą na ten cel? Ależ jest. Jest w Zakliczynie piętrowy budynek dworski. Są w tym budynku piękne duże sale,

zajęte przez inną Spółdzielnię ZSCh na magazyny i składy nawozów sztucznych, pasz treściwych itp. Ale te artykuły nie muszą zajmować wszystkich sal i przy dobru woli oraz zrozumieniu, łatwo i bez kosztów można by urządzić piękną świetlicę i dziwić się należało, że władze spółdzielcze jako czynnik kompetentny i powołany do tego, do dziś nie postarały się by w jednej z sal budynku dworskiego, nie urządzić świetlicy wiejskiej.

Można by tam skupić życie kulturalne wsi, młodzież i starsi nie musieliby szukać rozrywkę czy to kulturalnej czy innej w innych wsiach (jak to czynią dotychczas) ZMP mogłoby rozwinąć działalność, dałoby się utworzyć zespół amatorski, którego dotychczas nie ma we wsi właśnie z powodu braku pomieszczenia i w ogóle całego życia kulturalnego wsi można by ześrodkować. Tu byłoby miejsce na kontakty społeczne, to podejmowano by ważne dla wsi uchwały, tu można by prowadzić czy zachęcać do samokształcenia, utworzyć bibliotekę, wygłaszać odczyty, urządzić rocznicę obchody i w ten sposób podnieść wieś na wyższy poziom życia kulturalnego, którego potrzebę ludzie odczuwają.

Jest dość takich, którzy nie mogą obejść się bez kulturalnej rozrywki, pragną teatru, koncertów, muzyki poważnej, domagają się kina, chcieliby mieć głośnik radiowy, światło elektryczne, a tu jak na złość kina nie ma we wsi nie tylko stałego, lecz nawet objazdowego nie zawitało ani razu do nas, odbiorniki radiowe na palcach można policzyć, zespołu amatorskiego nie ma.

Józef Firek.

JÓZEF KOWALCZYK

KOESPONDENT I JEGO PISMO

Chociaż jestem chłopcem niedorośłym — mam wielkie zamiłowanie do szerzenia oświaty na wsi. Chcę pracować dla dobra Polski, sprawy socjalizmu, chcę się przyczynić do wykonania Planu 6-letniego. Nie chcę żyć z wyzysku ludzi, chcę sam na siebie zarabiać.

W domu wielki niedostatek. Nie mam butów, nie mam ubrania na święta ani poczytnej bielizny, w ogóle nie mam nic porządnego. Pracuję w domu. Nie dają mi żadnego odpoczynku, nawet w południe, czy w niedzielę. Nie pozwolą mi w domu zapisać się do ZMP ani LZS. Nie dają grać w piłkę ani chodzić do świetlicy. Nie pozwalają pisać do redakcji, dużo czytać, prenumerować gazet, chodzić do kolegiów, ani im mnie odwiedzać. Nie pozwalają mi chodzić dalej do szkoły i jeszcze więcej się uczyć. Tylko w domu samemu siedzieć i pracować, a o kolonijach nie ma mowy. Ja tak nie chcę żyć, chcę widzieć cały świat, chcę żyć dla ludzi, pracować społecznie.

Redakcje, weź mnie pod swoją opiekę. Do mego domu straciłem serce. Zapiękujej się mną. Chcę być listonoszem na razie, rozność ludziom gazety i książki, zarobić na rower, ubranie i bieliznę. Chcę być człowiekiem. Prosiłabym Redakcję, aby Ci odpisać szybko, ale nie mogłem, gdyż musiałem ciężko pracować przy żniwach — od świtu przez całe południe, do nocy. Może ty nie zdajesz sobie sprawy jaka to ciężka praca?

Książki, które wysłałaś mi 8 lipca, otrzymałem 10 lipca. Bardzo się ucieszyłem i bardzo serdecznie ci za nie dziękuję. Dlaczego mi nie przysłałaś takich książek, jak: — „W roztokach”, „Emancypantki”, „Marta”, „Nie Niemnem”, „Matka”, „Komornicy”, „Dziur-

dziowie”, „Kordian i cham”, „Popiół i diament”, „Biała brzoza”, i książeczek o ZHP, SP i ZMP.

Książki, które przysłałaś — bardzo chętnie czytają chłopcy, moi koledzy. Na pewno wielu chłopców będę mógł zwerbować na korespondentów. Mówili mi już, że muszę napisać do Redakcji, aby nam przysłała słowniczek ortograficzny, słowniczek wyrazów obcych i poradnik prawidłowego pisania i mówienia. Przyslij nam dalsze książki biblioteki 100-złotowej oraz zaprenumeruj ją do końca roku. Jeżeli biblioteka 100-złotowa wydała G. Guli „Dobre miasto”, to powinna też wydać „Wiosnę w Sakenie”.

Dlaczego żadna Redakcja nie pośle mi cennych na jakieś święta? Powinna Redakcja dać przykład ludziom, a nie ludzi Redakcji.

Dlaczego Redakcja „Wsi” i wszystkich innych pism nie podejmie dyskusji nad swym pismem? Każde pismo musi podjąć dyskusję nad sobą. Czytelnicy powinni nadsyłać spostrzeżenia jak powinno wyglądać pismo, czego brakuje, jaki nowy dział założyć. Wszystkie wypowiedzi należało drukować, dyskutować, a jak ostatecznie coś wspólnie zostanie uchwalone — to w piśmie wprowadzać. Do końca tego roku wszystkie Redakcje powinny przeprowadzić taką dyskusję, a od nowego roku prowadzić już pisma zgodnie z wynikami dyskusji. Ty Redakcji powinnaś być pierwsza i dać przykład innym. Wszystkie będziemy dyskutować, a ty tylko otworzysz dyskusję. W Planie 6-letnim i pisma muszą ulepszać swoją treść i wygląd. Droga Redakcji, kiedy będzie zjazd korespondentów? Głos na swoich łamach co miesiąc nowy konkurs!

Józef Kowalczyk.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL
Redakcyjne Komitet.

Adres Administracji: Warszawa, ul. Wiejska Nr. 12 Adres Redakcji: Warszawa, ul. Stawkiwiecka Nr 7.
Tel. Red. Nacz. 727-86 Tel. Redakcji 751-80 do 89. wewn. 23 i 97
Wyd.: SPÓŁDZIELNIA WYDAW. „OSW. „C Z Y T E L N I K”
REDAKCJA NIE ZAMOWIONYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA
Adres Prenumeraty i Ogłoszeń — Warszawa — Plac Trzech Krzyży 16

Warunki prenumeraty:
miesięcznie 100.—zł.; kwartalnie 300.—zł.; półrocznie 600.—zł.; rocznie 900.—zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa VII—1080-110 z zastrzeżeniem, że tytuł „Wies”

Drukarnia nr 2 Spółdz. Wyd. Osw. „Czytelnik”. Marszałkowska 3/5
B-118445